Nr. 44. Lwów, Niedziela dnia 30. Czerwca 1878 r. Tom VII.

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY, NAUKOWY I SPOŁECZNY.

ROK V.

PRENUMERATA we LWOWIE
Rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCYI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W Krakowie skład główny w Księgarni S. A. Krzyżanowskiego.

REDAKCYA i ADMINISTRACYA:
KSIĘGARNIA POLSKA.
l. 14 plac halicki.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni J. K. Żupańskiego w POZNANIU. PRENUMERATA w POZNANIU: Kwartalnie 7 m. z przesyłką 8 m. 50 f.
We Francyi, Anglii, Ameryce itd. kwartalnie 10 franków.
We Francyi prenumeratę i ogłoszenia przyjmuje wyłącznie ajencya Havas, Laffite et comp. 8. place de la Bourse.

WIEDZA A WIARA.

Wzajemny stosunek wiedzy i wiary najrozmaitszy bywa w różnych epokach życia narodów. U ludów, które nie wyszły z dzieciństwa, wiedza i wiara nie istnieją oddzielnie; wszelka wiedza, przybierając kształty fantastyczne, zlewa się z wiarą w jedną całość nierozdzielną. Wiara zastępuje naukę, fantazya i uczucie pełnią funkcyę rozumu, i tłómaczą po swojemu wszystkie zjawiska przyrody.

Jak tylko jednak wyosobni się kasta kapłanów z ogólnej masy ludu i w imieniu religii chce nad nią zapanować, wnet poczyna się i rozdwojenie pomiędzy wiedzą a wiarą. Kapłani, pośrednicy między bogami i ludźmi, inaczej wierzą niż lud, i ta różnica pomiędzy jedną wiarą a drugą, jest już zawiązkiem wiedzy, naturalnie zmonopolizowanej przez jednę kastę.

Wyłamanie się z tego monopolu było niesłychanie trudną rzeczą. Potrzeba było tak szczęśliwych warunków wszelkiego rodzaju, jakie posiadała starożytna Grecya, aby dokazać tego, t. j. aby z wiedzy kapłańskiej zrobić świecką, aby to, co było wyłączną własnością kasty, mogło się stać chlebem powszednim każdego człowieka. Ztąd to nieśmiertelne znaczenie Hellady w dziejach ludzkości: spełniła ona zadanie Prometeusza, podała ludziom ogień wiedzy.

W świecie tedy klasycznym wiedza, ujęta w rozmaite filozoficzne systemata, i wiara w złotem tkanej, ale wyszarzanej szacie mitologicznej stanęły już naprzeciw siebie, jako dwie różne, rzadko jednak występujące przeciw sobie potęgi. Ale im dłużej stały i patrzały sobie w oczy, tem bledszą, bardziej martwą stawała się mitologia, tem krzepszą i dzielniejszą wiedza, karmiona badawczym duchem Greków. Już w epoce aleksandryjskiej religia była wzorzystym całunem, pokrywającym prochy dawnej wiary, a tymczasem wiedza święciła wielkie swoje tryumfy.

W wiekach średnich wręcz odmienny przedstawia się widok. Starożytna wiedza legła pod gruzami miast, zburzonych przez barbarzyńców, lub zataiła się w nieprzystępnych bibliotekach jałowych uczonych bizantyjskich; natomiast teologia chrześciańska zapanowała we wszystkich sferach życia. Jednakże tu i ówdzie istniały resztki starożytnej wiedzy, resztki, co prawda bardzo koszlawe i mizerne. Nie pogardzono niemi, podniesiono je, zrobiono z nich nawet odrębną całość, która otrzymała nazwę scholastycznej nauki. Ale ta wiedza nie miała samoistnego bytu i własnych celów: była służebnicą teologii, pracowała dla niej, nie śmiała się na krok od niej oddalić.

W epoce starożytnej pod wpływem wskrzeszonej wiedzy greckiej, pod wpływem nadzwyczajnego postępu nauk przyrodniczych nauka wyzwoliła się zupełnie z pęt teologicznych i dzisiaj poniekąd powtarza się to, co było w epoce klasycznej: wiedza i wiara stoją naprzeciw siebie, jako potęgi niezależne. Ta tylko ważna różnica zachodzi pomiędzy dawnym a nowym stanem rzeczy, że kiedy dawna mitologia była tylko snem bogatej fantazyi i główną siłę swoję czerpała w piękności poetycznych form i obrazów swoich, chrześcianizm posiada niespożytą podstawę w swej moralności. Dzięki to jej przedewszystkiem stoi on i stać będzie niewzruszenie i może nie lękać się wzrostu i tryumfów nauki.

Jakiż właściwie stosunek pomiędzy wiarą a wiedzą jest najpożądańszy?

Możemy z dziejów trzy główne możliwe rodzaje tego stosunku wyprowadzić. Albo wiedza jest zupełnie pochłonięta przez religią, a przynajmniej zupełnie od niej zależna — albo wiedza cieszy się najwyższym rozkwitem i samodzielnością, podczas gdy religia jest w upadku, jest martwą obrzędowością, jest narzędziem polityki. Albo wiedza i wiara stoją obok siebie, jako dwa światy żywe, niezależne, a wzajem się uzupełniające.

W pierwszym razie t. j. kiedy religia pochłania wiedzę, wszelki postęp ducha ludzkiego jest niemożliwy. Co gorzej religia, nie mając przeciwdziałania i kontroli w oświacie, staje się narzędziem w ręku teokracyi, wciąga w siebie moc przesądów i zabobonów, coraz bardziej zmysłowieje. Dla tego to chrystyanizm nieskończenie czystszy jest u swego źródła, niż wśród mętów nocy średniowiecznej. To samo się i na innych religiach okazuje. Pierwotna religia Indusów jest o wiele wyższą i czystszą od późniejszego braminizmu, który był narzędziem w ręku kasty braminów. Tak samo buddaizm, głęboko filozoficzny w podstawie, u źródła swego, rozlawszy się na ciemne krainy azyatyckie, nie draśnięte ani jednym promieniem oświaty, zamienia się w najgrubsze bałwochwalstwo.

W drugim razie mamy stosunek wręcz przeciwny, ale bynajmniej nie pomyślniejszy. Rozkwit wiedzy nie wynagrodzi upadku religii. Wiedza wytłómaczy człowiekowi mnóstwo pojedyńczych zjawisk, rozproszy wszystkie strachy i widziadła, któremi przesąd zaludnił około niego przestrzenie, ale głównego pragnienia serca jego nie zaspokoi, nie rozwiąże ostatecznej zagadki bytu, nie poda mu do ust spragnionych tego napoju, jakim jest wiara w mądrego, sprawiedliwego i kochającego Stwórcę. Mędrzec na gruzach wiary może zbudować sobie samotny kościół, w którym czcić będzie ideały we własnej duszy wyrobione, i do nich stosować praktykę życia, ale do spokoju i rezygnacyi mędrca nie może wznieść się ludzkość, ani jeden naród; świadectwem stoicyzm pojedyńczych Rzymian sterczący wśród orgii rzymskiego życia, jak kamienna kolumna wśród szalejącej powodzi pożaru. Naród przy oświacie potrzebuje wiary, i to wiary żywej, a nie martwych obrzędów, które nie ocaliły przecież Rzymian od zatonięcia w zmysłowości.

Pozostaje nam trzeci stosunek, i ten jedynie zdolny jest i odpowiedzieć najniezbędniejszym potrzebom serca i zabezpieczyć postęp i rozwój ludzkiej myśli. W stosunku tym wiara i wiedza, obie żywe, niepodległe, dzielą się światem pojęć, nie przekraczają swoich granic naturalnych, i dla tego wzajem sobie nie przeczą. Wiedza buduje analitycznie, wiara syntetycznie, wiedza zaczyna budowę od najniższych pokładów ziemi, wiara od najwyższych szczytów nieba. Tam gdzie się budowa wiedzy pozytywnej kończy, tam się zaczyna panowanie wiary, a zaiste obszar to niezmierzo-

ny. Dla tego ustępstwa, jakie wiara winna czynić nauce w miarę podnoszenia się tej ostatniej nie mogą osłabić jej znaczenia: ostateczny klucz do zagadki wszechbytu zawsze pozostanie w ręku wiary, zawsze wiara nam tylko będzie otwierać niebiosa.

Dla tego próżne są narzekania ludzi, wołających, że wiedza niszczy i wywraca wiarę. Zapewne, wywraca i niszczy, ale tylko to, co jest w wierze przypadkowego, podrzędnego, a dotyczącego zjawisk, należących do sfery wiedzy. Do głównej treści wiary wiedza wdzierać się nie może i nie powinna, tak samo jak wiara nie powinna przeczyć zdobyczom wiedzy, ale zastosowywać się do nich i tym sposobem ciągle się oczyszczać i doskonalić.

ZA WINY NIEPOPEŁNIONE.

POWIEŚĆ

przez

Michała Bałuckiego.

(Ciąg dalszy.)

Córkę wiadomość ta nie ucieszyła tyle, ile można się było spodziewać po jej przywiązaniu do ojca; a nie ucieszyła się dlatego, że w tej chwili przyszło jej na myśl, iż przez ten czas nie będzie mogła bywać tak często u Leszczyców, gdzie ją ciągnęło nie samo już przyzwyczajenie.

Dla tego powodu była drugiego dnia jakaś roztargniona, marudna i niezadowolona. Nie była przyzwyczajona przebywać długo w towarzystwie ojca. Zwykle przyjeżdżał rano, kiedy ona jeszcze spała, zabawił jeden dzień i o zmierzchu lub w nocy wyjeżdżał znowu. Tak bywało tutaj, tak samo bywało w Tarnowie i w Jarosławiu, gdzie poprzednio mieszkali. Stosunek jej więc z ojcem, był niezwyczajny, składał się z krótkich chwil pełnych pieszczot, uniesień radości, gorączkowych rozmów, w których sobie wypowiadali z pospiechem to, co mieli na sercu. Żyli ze sobą więcej w imaginacyi, jak w rzeczywistości. To też teraz, kiedy przyszło im dłuższy czas przebyć razem, nie wiedzieli jak go zapełnić. Przynajmniej córka była w kłopocie, o czem mówić z ojcem, jak go zabawiać. Nie chciała zostawiać go samego, a znowu gdy siedziała przy nim, czas wydawał jej się długim okropnie. Przyczyniało się do tego nie mało i to, że myśl jej wybiegała ciągle do domu Leszczyców, tęskno jej było bez nich. Radaby była pobiegnąć tam, choć na krótko; ale nie śmiała powiedzieć tego ojcu; obawiała się, że mu byłoby przykro, gdyby go odeszła.

Musiał odgadnąć to życzenie córki, albo może i on potrzebował zostać sam, bo po południu zam jej zaproponował, żeby poszła odwiedzić Leszczyców. Ucieszyła się tem tak, że z radości rzuciła mu się na szyję i całowała i powtarzała ciągle:

— Ach, jakiś ty dobry, mój ojcze.

— No, no, dobrze już — mówił z uśmiechem udając, że się broni przed jej pieszczotami — ja wiem, że ty już teraz nie do mnie należysz, że tobie nie wiele teraz na ojcu zależy.

— O! nie, ja cię teraz będę jeszcze więcej kochać.

I zaczęła się spiesznie ubierać, ale w pośpiechu nie zapomniała ubrać się starannie, wdziewając co miała najpiękniejszego.

Ojciec gładząc sobie brodę, przypatrywał się temu i żartował sobie z niej i przekomarzał się.

— A wróć przed wieczorem — mówił, gdy już odchodzić miała — bo przecież i mnie się także należy coś za to, że jestem twoim ojcem.

— O wrócę, wrócę — mówiła ucieszona — będziemy cały wieczór rozmawiać.

Ucałowała go na pożegnanie i chciała już wychodzić, gdy ojciec jakby sobie coś przypomniał, zatrzymał ją za rękę i rzekł:

— Słuchaj, nie potrzebujesz im wcale mówić, że ja jestem u was. Mogłoby się to roznieść po mieście i miałybyście może z tego powodu jakie nieprzyjemności. Ty wiesz jak tu żydów niecierpią.

— Dobrze, to nie powiem nic.

— Jestem tu tylko dla was, to jest dla ciebie, i nie chciałbym, żeby kto więcej o tem wiedział.

Amelka bez trudności przyrzekła ojcu zachować w tajemnicy jego pobyt i pobiegła do klasztoru.

W drodze spotkała się z Janem. Szedł właśnie po nią. Matkę bowiem zdziwiło, co to znaczy, że Amelka już drugi dzień nie pokazała się i posłała go dowiedzieć się.

— Matka moja żyć bez pani nie może — odezwał się Leszczyc witając ją ukłonem — i wszyscy stęskniliśmy się bez pani.

W oczach jego, w których malowała się żywa radość z oglądania jej, mogła wyczytać, że to nie był oklepany komplement i czuła, że serce jej w piersiach rośnie od tych słów. Oczy jej błyszczały i twarz była ożywiona, promieniejąca, jakby przez nią jakieś cudowne światło przebijało. Janowi nigdy jeszcze nie wydawała się tak piękną. I stara Leszczycowa, gdy ją ujrzała, po serdecznych powitaniach, wyraziła również zadziwienie swoje z powodu tej zmiany w jej twarzy.

— Tak tylko szczęście może opromieniać twarze. Musiało cię coś bardzo dobrego spotkać w tym czasie. Prawda?

Amelka nie odpowiadała nic słowami, tylko całowała starą Leszczycowę z uciechy po rękach, a każdy ruch jej, każde spojrzenie mówiło, jak jest szczęśliwą.

Od owego dnia Amelka czas i serce dzieliła między Leszczyców i ojca. W dzień przesiadywała u nich, a na wieczór wracała do ojca, spowiadała mu się z uczuć i wrażeń swoich, opisywała mu Jana, zdawała mu dokładną sprawę z tego, co z nią mówił, co robił, jak patrzał i razem z ojcem wyciągali z tego wnioski i domysły o jego uczuciach. Córka wtedy zwykle wątpiła, a ojciec dodawał jej nadziei.

Tak było dni kilka.

Jednego dnia Amelka przyszedłszy po południu, jak zwykle do Leszczyców, zastała tam jakieś całkiem jej obce osoby. Była to pani burmistrzowa z córką. Przyszły one niby odwiedzić chorą. Właściwy zaś powód był ten, że po mieście rozeszła się pogłoska, że młody Leszczyc został dyrektorem i wspólnikiem jakiejś wielkiej fabryki nafty i niebawem ma wyjechać. Bajeczkę tę wymyślił aptekarz, gdy go zewsząd ciekawi zarzucali pytaniami, co ten Leszczyc porabia, co będzie robił itd. Bajeczka wnet rozeszła się po mieście a burmistrz od Josla przyniósł ją do domu. Wnet tedy stanęło na radzie familijnej, że trzeba dalej pilnie kultywować znajomość z Leszczycami i bądź co bądź młodych zbliżyć do siebie; a że młody Leszczyc jakoś nie kwapił się z drugą wizytą; więc ulegając konieczności trzeba było zrobić wizytę Leszczycom.

Wprawdzie stało temu na przeszkodzie, że dotąd Leszczycowa nie oddała im jeszcze pierwszej wizyty; ale wytłomaczyły ją tem, że pewnie „chudzina nie ma się w co ubrać i dlatego wstydzi się to pokazać między ludźmi.“ I chcąc uwidocznić jej ubóstwo siliły się ubrać na tę wizytę jak najokazalej. Nakładły na siebie, co tylko miały najkosztowniejszego. Mama bez względu na dokuczliwy upał wpakowała na siebie swoją uroczystą, materyalną suknię i przyłożyła to jeszcze aksamitnem okryciem suto wyszywanem. Na głowie dla większej ozdoby przypięła do czepka ciemno karmazynowe pióro, które na wysokiej fryzurze kołysało się, jak kita na hełmie za każdem poruszeniem głowy.

Panna Aniela zaś korpulentną postać swoją zasznurowała w biały kolor niewinności; ale cóż, kiedy niewinność tę poplamiła taka kupa różnokolorowych kokard, kokardek, wstążek, szarf, że wyglądała jak żydowska wystawa sklepowa. Na spoconą twarz nasypała obficie pudru, tłómacząc się tem, że nic tak nie chłodzi, jak puder. Zabrała także parę chusteczek do kieszeni na przypadkości katarowe i jednę chusteczkę do parady, cienką, z ozdobnym haftem naperfumowaną aż do odurzenia.

Tak uzbrojone zdążały do mieszkania Leszczyców. Pan burmistrz miał je eskortować na miejsce przeznaczenia; ale niestety w czasie, kiedy one zajęte były ubieraniem się, on u Josla ubrał się węgrzynem tak, że go musiano rozebrać i do łóżka położyć. Obiecał swojej połowicy, jak się tylko trochę przedrzemie, przyjść po nie do Leszczyców. Dyplomatyczna burmistrzowa, chcąc odjąć swojej wizycie charakter oficyalny, zaraz na wstępie oświadczyły Leszczycowej, że wyszła sobie z córką za sprawunkami na miasto z „ojcem“, że „ojciec“ poszedł się golić, a one tymczasem wstąpiły odwiedzić „kochaną panię“ i zapytać o „szacowne zdrowie“.

Leszczycowa z pobłażliwym uśmiechem przyjęła to objaśnienie, które całkiem nie licowało z wyszukanym strojem obu kobiet i poprosiła je uprzejmie usiąść. Mama nie chcąc uchybić sobie i dostojeństwu męża, zajęła zaraz kanapę; córka zaś usadowiła się na krześle z winnym respektem dla wszystkich kokardek i wstążeczek i draperyj sukni, których ułożenie nie mało zajęło czasu.

Rozmowa rozpoczęła się o chorobie Leszczycowej, nad którą matka i córka mocno ubolewały. Z oczów im jednak można było wyczytać, że wcale nie myślały o tem, co mówiły; szczególniej córka była ciągle roztargniona, niecierpliwie poglądała ku drzwiom i uważała rozmowę nie w obecności Jana za stratę czasu. To też dopiero kiedy wszedł, zaczęła na dobre brać udział w rozmowie; gadała, jakby ją kto nakręcił, chciała go oczarować darem wymowy. Jan słuchał cierpliwie, sam mało odpowiadał i ziewał skrycie. Pani burmistrzowa chcąc młodym zostawić czas do

bliższego porozumienia się, przeniosła się z kanapy bliżej do chorej.

Właśnie w tym czasie weszła Amelka do pokoju. Ujrzawszy obcych chciała cofnąć się zażenowana; Leszczycowa jednak zatrzymała ją słowami i zaraz przedstawiła gościom. Żydóweczka skłoniła się nieśmiało, ale z wdziękiem obu paniom, na co one odpowiedziały lekceważącem kiwnięciem głowy, a panna odwróciła się od niej i chciała prowadzić dalej zaczętą z Janem rozmowę. Ten jednak nie słuchając jej wcale, wstał i zakłopotanej Amelce podał swoje krzesło. Podziękowała mu i usiadła przy Anieli; parę razy zagadała coś do niej; a odebrawszy za każdym razem odpowiedź krótką i niegrzeczną, zaprzestała rozmowy, posiedziała czas jakiś jeszcze, aż wreszcie nie wiedząc co zrobić ze swoją osobą, zdecydowała się usunąć od niegrzecznej panny, poszła do okna i zaczęła robić w krosnach.

Jan, który z daleka obserwował wszystko i oburzony był postępowaniem Anieli, chcąc wynagrodzić żydóweczce upokorzenie, jakiego doznała, usiadł przy niej i półgłosem rozmawiał z nią ciągle. Nie wiadomo, czy żydóweczka odgadła intencyą, która go skłoniła do tej rozmowy na boku; ale to pewna, że serce jej w tej chwili przepełniała radość nie opisana. Nigdy jeszcze Jan nie był tak rozmowny, tak serdeczny jak teraz. Rozmowa ich przechodziła z wesołych żartów na poważne tony i znowu wracała do śmiechów, wesołości. Ożywienie malowało się na twarzach obojga, a bywały takie ustępy w rozmowie, w których twarz Amelki żywszym oblewała się rumieńcem i mocniej nachylała się nad robotą. Oczy jej wtedy błyszczały takim blaskiem, jaki rzucają świeczniki weselne.

A tymczasem panna Aniela siedziała sama na środku pokoju drąc z niecierpliwości i gniewu pajęczą chusteczkę, napróżno chciała zwrócić na siebie uwagę Jana; to opuszczała wachlarz w nadziei, że skoczy podnieść go; to wstała oglądać obrazy po ścianach, myśląc, że przyjdzie objaśnić jej, co przedstawiają.

Jan zdawał się nic nie widzieć, nie słyszeć, prócz żydówki. Robił to prawdopodobnie z umysłu, aby ukarać należycie niegrzeczność Anieli. Nawet jej kichnięcie nie przerwało mu rozmowy. Tu już niecierpliwość Anieli się wyczerpała. Rozdrażniona upokorzeniem, jakiego doznała, czerwona od złości, zbliżyła się do matki i oświadczyła jej szorstko, że tu tak gorąco, iż wytrzymać nie podobna. Matka, która pomimo gorliwej niby rozmowy z Leszczycową, bacznie obserwowała wszystko, co się działo, zrozumiała jak gorąco musiało być córce, kiedy u niej w sercu, aż wrzało wszystko od irytacyi. Wstała więc z pospiechem żegnać Leszczycową.

— Ależ pan burmistrz miał wstąpić po panie — odezwała się staruszka, zdziwiona tym nagłym odwrotem.

— Musimy iść. Żegnam — odrzekła krótko matka; córka nawet tego nie powiedziała, i obiedwie jak bomby wyleciały za drzwi.

Jak dostały się do domu, tego nie wiedziały. Irytacya zastępowała siłę pary i pędziła je z szaloną szybkością. Ofiarą gniewu padł najprzód ulubiony kotek, którego panna Aniela spotkawszy we drzwiach kopnęła tak, że odleciał na dwa kroki; potem wpadła do pokoju z takim impetem, że zahaczywszy się mantylką o kosz z kwiatami, przewróciła go z łoskotem; w końcu nie mogąc ze spoconych i nabrzmiałych rączek ściągnąć rękawiczek, podarła je ze złości.

Mama zatrzymała się nieco z wybuchami gniewu, dopóki nie uwolniła się od aksamitnego okrycia i materyalnej sukni. Wtedy dopiero popuściła wodze językowi.

— Nigdy sobie tego nie daruję — mówiła wywijając obnażonemi rękami, na których telepały się mankiety — że noga moja przestąpiła próg takiego domu. Piękne mi towarzystwo z żydówkami, nie ma co mówić.

— Cóż można wymagać od podobnych ludzi? Ich godny synalek kontent, że może choć z żydówkami rozmawiać, bo pewnie żadna porządna panna z nim by gadać nie chciała.

— Muszę powiedzieć twemu ojcu, żeby mi tych parchów zaraz wypędził z miasta, bo człowiek potem nie ognałby się nigdy przed tem plugastwem. Uważałaś ty, ona ją przedstawiała, jakby jaką damę. A to szkandał prawdziwy!

— Bo najlepiej było nie chodzić.

— Któż się spodziewał czegoś podobnego? Przez moje głupie serce dałam się namówić do tego. Mówili: chora, chora.

Na łoskot sprawiony upadaniem wazoników na ziemię, ciocia z kuchni przybiegła przestraszona.

— A tu co się stało? Wszelki duch chwali.

— To ciotka winna temu wszystkiemu — zawołała panna, rada, że ma na kim wywrzeć swój gniew.

— Ty zawsze z twojemi głupiemi radami — zawołała matka.

— Ciągle nam tylko trajkotała w uszy o tych Leszczycach.

— Żeby nie ona, toby nam nawet na myśl nie przyszło coś podobnego.

— O cóż wy się tak kłócicie, moje drogie? — spytała ciotka patrząc zdziwionym wzrokiem to na jednę, to na drugą. — Anielciu! o cóż tobie chodzi? — spytała zbliżając się do Anieli. Ten naiwny spokój głuchej ciotki jeszcze do większej passyi doprowadził Anielę. Ofuknęła się na nią.

— Niech mi ciotka da święty spokój! — rzekła i wyszła trzasnąwszy drzwiami.

Pani burmistrzowa też zabrawszy suknię w jedną a mantylkę w drugą rękę, pomaszerowała za córką, a przechodząc koło ciotki, wrzasnęła jej w samo ucho z gniewem:

— Wszędzie musisz wściubić swoje trzy grosze. Mamy cię już póty — zrobiła ruch nad głową materyalną suknią i wyszła, zostawiając ciotkę z otwartemi ustami i zdziwionem ogłupiałem spojrzeniem.

(C. d. n.)

PAŃSTWO I JEGO GRANICE

STUDYUM PRAWNO-PAŃSTWOWE

przez

EDWARDA LABOULAYE.

Tłómaczył

JÓZEF SCHIFF.

(Ciąg dalszy).

Jednem z najlepszych dzieł napisanych w przedmiocie właściwych praw przynależnych państwu, jest praca Wilhelma Humboldta. We Francyi nie ma człowieka, którby nie słyszał o Aleksandrze Humboldzie, tym geniuszu powszechnym, niedawno utraconym dla nauki, lecz mniej jest znany brat jego starszy, chociaż w Niemczech stawiają ich w jednym rzędzie. Twórca filologii nowożytnej, filozof chrześciański, znakomity mąż stanu, obrońca swobód konstytucyjnych w epoce, gdy pogarda takowych prowadziła do szczęścia, Wilhelm Humboldt był jednym z tych rzadkich umysłów, szukających zawsze przyczyny rzeczy, i badających wszystko, z czem się zetkną. W 1792 roku na prośbę barona Dalberga, koadjutora Moguncyi i przyszłego Elektora cesarstwa, napisał on *studyum o granicach działalności państwa.* Wojny rewolucyi stanęły zapewne na przeszkodzie Humboldtowi w wydrukowaniu książki, któraby nie znalazła czytelników. Bo i kto myślał o wolności podówczas, nie przeklinając jej? *Studyum* włożone zostało do teki i zapomniane. W roku 1851, w szesnaście lat po śmierci autora, powzięto szczęśliwą myśl wydrukować je, i rzecz dziwna! przekonano się, że książka ta sześćdziesiąt lat mająca była nowością.

Łatwo da się to wytłumaczyć: Idee, których Humboldt bronił w roku 1792, pochodziły ze szkoły konstytucyjnej, w roku 1789 cieszącej się po raz pierwszy względami mniemania powszechnego; Humboldt jest uczniem Neckera i Mirabeau. Od sławnej rozprawy o *Wychowaniu publicznem,* prawdziwego testamentu politycznego Mirabeau, zapożyczył on dewizę i myśl główną swej książki: „Cała trudność polega na tem, aby ogłaszać prawa tylko istotnie niezbędne, aby pozostać na zawsze wiernym tej prawdziwie konstytucyjnej zasadzie społeczeństwa i aby ustrzedz się szału rządzenia, tej najzgubniejszej choroby rządów nowożytnych.“ Te płodne w następstwa idee przyćmiła rewolucya, cesarstwo pogardziło niemi, restauracya mało na nie zwracała uwagi, lecz jako prawdziwe pojawiają się one wciąż na nowo i w pewnych chwilach przenikają do duszy, jak miecz. W podobnej właśnie chwili obecnie żyjemy.

Zasługa Humboldta polega na tem, że nadał on tym ideom formę filozoficzną, że sprowadził wolność do zasady moralnej, że dowiódł, że wolność ta, zapoznawana przez tych co ją oczerniają lub obawiają się jej — jest to samo życie jednostek, siła społeczeństwa.

Podług Humboldta, najwyższym, najwznioślejszym celem człowieka na ziemi, celem wskazanym przez niewzruszone prawa rozumu, jest rozwój wszystkich jego zdolności. Doskonalić się nawet za cenę cierpienia, oto jest zadanie człowieka, chrześcianina, obywatela. Do zupełności tego doskonalenia się i do zgodności tego rozwoju dwa są niezbędne warunki: wolność działania i rozmaitość położenia.

Drugi z tych warunków zadziwia, być może, że go ktoś zrazu nie rozumie nawet. Właśnie to stanowi oryginalną część teoryi, jeden z najgłębszych poglądów męża stanu. W tym punkcie Humboldt o pół wieku wyprzedził swych współczesnych.

Ideałem wieków średnich, zarówno jak i wieku Ludwika XIV. była jedność, jedność we wszystkiem, w religii, w moralności, w naukach, w przemyśle. Jedność tę starano się osiągnąć sztucznymi środkami, państwo ją narzucało i zarazem podtrzymywało. Lecz taką drogą nie osiągnięto jedności prawdziwej, wynikającej ze zgodności umysłów, lecz jednostajność, tj. prawidło

*

zewnętrzne, czczą formułę narzuconą przez siłę gwałcącą wszelki opór. Naród nie wierzył, lecz milczał, było panowanie uległości i zastoju. Dziś nie ma już nic podobnego. Dzięki dokładniejszemu i prawdziwszemu pojęciu o duszy ludzkiej doszliśmy do prawdziwszego pojęcia jedności. W człowieku zarówno jak i w przyrodzie upatrujemy nieskończoną rozmaitość. Całość i zgodność tej rozmaitości wytwarza żywą jedność, której szukamy.

Colbert mniemał, że odradza przemysł, ustanawiając za pomocą praw jakość, szerokość, barwę materyi; dziś zaś wiemy, że przemysł należy pozostawić samemu sobie. Osobisty interes fabrykanta starczy aż nadto do zaspokojenia wszystkich potrzeb. Cierpieć garstkę nieszkodliwych protestantów, było to podług Ludwika XIV., polityką niszczącą monarchią. Zgodziliśmy się z losem i nie chcemy być mędrszymi od Pana Boga, znosimy to, na co On zezwala, a doświadczenie nas uczy codziennie, że swoboda wyznań nie szkodzi państwu, a przynosi korzyść religii. Katolicyzm żywotniejszym jest w odszczepieńczej Anglii, niż w prawowiernej Hiszpanii. W uniwersytetach niemieckich każdy może zostać profesorem i wykładać co mu się żywnie podoba, uczącego się tam nie zmuszają ani do profesora, ani do metody; a jednak z której strony Renu nauki i studya w bardziej kwitnącym są stanie? Wszędzie i we wszystkich gałęziach ludzkiej działalności rozmaitość właśnie stanowi postęp i życie.

Nowe te poglądy obaliły dawną politykę. Zrozumiano wreszcie, że chybionym i bezpłodnym dziełem jest narzucać jednostajność przez despotyzm prawa. Ażeby kraj pewien był bogaty, przemysłowy, moralny, religijny, potrzebny jest pewien warunek, polegający na tem, aby nic nie przeszkadzało nieskończonemu rozwojowi ludzkich zdolności, innemi słowy należy przedewszystkiem ochraniać i szanować wolność jednostek.

Jaka zatem rola przypada państwu? Humboldt sprowadza działalność państwa do dwojakiego zadania: na zewnątrz — mieć pieczę o niepodległość narodu, na wewnątrz — utrzymać pokój. Oto granice rządu. Innemi słowy, Humboldt oddaje państwu: armię, marynarkę, dyplomacyę, skarbowość, wyższą policyą, sprawiedliwość, opiekę nad sierotami i niezdatnemi do pracy, odbiera mu religię, wychowanie, moralność, handel i przemysł — wszystko to w moc dwu tych zasad: swobody działania, i rozmaitości położenia. Zastanówcie się bowiem, w samej rzeczy, jaki jest wpływ państwa tam nawet, gdzie mu się nie opiera sumienie. Cóż innego uczynić może zarząd, jak ustanowić za pomocą przepisów nie wiem jaką jednostajność mechaniczną, obrachowaną na zasadzie najniższej przeciętnej? Czyliż działać w ten sposób, nie znaczy to osłabić energią osobnikową, uśpić myśl, osłabić charakter, znieść odpowiedzialność moralną. Kalecząc tak społeczeństwo na tem łożu Prokrusta, cóż na tem zyskujemy? Obarczamy państwo ciężarem, który je przygniata! Mięszać państwo do wszystkiego, czynić je naraz despotycznem, swarliwem i kosztownem, czy znaczy to wzmocnić je, czy też osłabić? I jeżeli wniosek taki słusznym jest, gdy chodzi jedynie o dobro materyalne, to cóż powiedzieć na to, że dusza ludzka cierpi i miota się pod uciskiem, niczem nie dającym się usprawiedliwić?

Czyliż znaczy to, że Humboldt odmawia państwu charakteru moralnego i ogranicza władzę do rzemiosła żandarma utrzymującego porządek na ulicach? Nigdy. Jakżeby myśl podobna mogła przyjść do głowy autorowi *Listów do przyjaciółki*, duszy niezwykle szlachetnej i religijnej. Społeczeństwo nie może żyć bez religii, moralności, bez wychowania, bez przemysłu, bez handlu, lecz może żyć wybornie bez kościoła ustanowionego, bez moralności urzędowej, bezzwychowania urzędowego, bez kart przemysłowych, bez monopolów handlowych; który kraj jest religijny i moralny? czy ten gdzie obywatele są pobożni i szczerzy? czy ten gdzie państwo ustanawia reguły wiary lub prowadzenia się i skazuje poddanych na hipokryzyą. Co wytwarza cnotę, prawdę, nauki? czy rozkaz księcia, czy swobodna praca ducha ludzkiego? Na tem polega całe pytanie. Humboldt nie burzy i nie osłabia żadnego żywiołu społecznego, przeciwnie, chce im nadać więcej mocy i więcej żywotności. Siłom skrępowanym pragnie on powrócić sprężystość, chce on powiększyć wartość każdego obywatela, aby energia wszystkich podniosła potęgę państwa.

Idee Humboldta natchnęły widocznie Milla myślą napisania swego dzieła o *wolności*. Śmiały ekonomista, filozof twórczy, subtelny myśliciel, John Stuart Mill rozszerzył zagadnienie. Nie tylko państwu, lecz i społeczeństwu chce on zakreślić słuszne granice. Z jasności wyrażania się poznać zaraz, że jest Anglikiem, nie zaś Niemcem, że żyje w kraju, gdzie każdy najzupełniej wyjawia swe myśli. Lecz są to tylko różnice zewnętrzne i jeżeli forma jest odmienną, zasada jest tąż samą: Mill inną drogą dochodzi do tychże wniosków co i Humboldt.

Zadanie, jakie sobie postawił Mill, jak sam mówi, polega na odszukaniu natury i granic władzy, jaką prawnie społeczeństwo wywierać może nad osobnikiem. „Jest to pytanie rzadko zadawane i prawie nigdy nie rozbierane w słowach dostępnych dla ogółu, lecz wskutek skrytej swej przytomności wywiera ono głęboki wpływ na polityczne sprzeczki chwili obecnej, i niezadługo uznanem będzie za najżywotniejszą kwestyą przyszłości. Kwestya ta bynajmniej nie jest nową, pod pewnym względem dzieliła ludzkość już od najdawniejszych wieków, lecz w epoce postępu, w jaką weszły narody cywilizowane, przedstawia się ona w nowych warunkach i domaga się odmiennego i gruntownego zbadania. Gdzież więc granice, na których winno się zatrzymać społeczeństwo, a mniemanie powszechne nawet uznać swą niewłaściwość? Podług Milla łatwo je oznaczyć. Jedynym powodem mogącym upoważnić człowieka lub zbiór ludzi do tamowania wolności innego, jest konieczność własnej obrony, *self protection.* (C. d. n.)

WSPOMNIENIA STARYCH ŻOŁNIERZY

spisał

EZECHIEL BERZEWICZY.

II.

Bój pod Tyszycą.

(z opowiadania Antoniego Szaszkiewicza).

Kolega Seweryn opowiedział właśnie przed chwilą niektóre wypadki z powstania naszego, a szczególnie, opisał bitwę pod Uchaniami.

Co się tyczy tej bitwy, gdy i ja mam nieco o niej powiedzieć, będzie treść onej prawie ta sama; jednakowo sądzę, że wrażenia i wypadki osobiste zawsze bywają odmiennej natury, bo nawet i fakta niektóre nie każdemu jednakowo się przedstawiają. Co do mnie, jako adjutant Karola Różyckiego, który wszędzie z nim byłem i z urzędu mego we wszystko wtajemniczony być musiałem, znajdziecie koledzy w opowiadaniu mojem, może również coś zajmującego; tembardziej, że od wcześniejszych ruchów zacząć zamyślam, aby zarazem i bitwę pod Tyszycą objąć i opisać.

Pamiętam, jak Różycki po odebraniu, samych niepomyślnych wieści, mianowicie: że jenerał Kołysko pobity pod Kozaczkami cofa się do Galicyi, a później, że i jenerał Dwernicki, po zwycięzkiej bitwie pod Boremlą, party przez dwa korpusy nieprzyjacielskie, już do Galicyi wkroczył, wezwał cały oddział i przed frontem przemówił temi słowy:

„Bracia! stanowcza chwila nadeszła dla nas! Z pewnych źródeł dowiedziałem się, że silne powstanie Ukraińskie pobite przez korpus moskiewski jenerała Rotta, cofa się do Galicyi, a szczupła choć zwycięzka armia jenerała Dwernickiego już tam wkroczyła! Bracia! te niepowodzenia, jak mnie tak i was nie powinny przerażać; bo mam w Bogu nadzieję, że przy waszej waleczności — zwycięztwa oczyszczą nam obsadzone przez nieprzyjaciela drogi, a ze mną, starym i doświadczonym żołnierzem, przywykłym do bezwzględnej subordynacyi, staniecie dumnie obok naszej regularnej armii w królestwie! Nie znają tam jeszcze ducha i zapału naszej Rusi! toć im pokażemy, czem jest garstka nasza!... Na koń Wołyńce! niech nasze hasło bojowe Sława Bogu *) zagrzmi i za Bugiem! Bóg sprzyja dobrej sprawie!“

Po tej przemowie zaraz wysłał mię Różycki do obywatela o milę może mieszkającego, z kilku tylko słowy na karteczce:

„Proszę natychmiast donieść tam gdzie wiadomo — że jestem w drodze za Bug. — Którędy idę, ustnie opowie mój towarzysz broni. — Chcę wiedzieć, co się po za plecami dzieje; bo garstki walecznej mego pułku nie chcę widzieć znużonej wątpliwemi ostrożnościami“.

W parę minut po oddaniu tej depeszy, otrzymałem odpowiedź, którą Różyckiemu po godzinie mojej niebytności doręczyłem.

Za chwilę maszerowaliśmy już do Międzyrzecza Koreckiego, majątku zacnej rodziny Steckich, bardzo możnych panów polskich, a duszą i ciałem oddanych naszej sprawie.

W tym marszu wysłany byłem naprzód z sześciu szeregowcami do miasteczka Kilikijowa, na naszej drodze do Międzyrzecza położonego, dla powzięcia języka. Przyjechawszy na miejsce, zapytałem pierwszego lepszego żyda, czyli nie ma u nich Moskali, czyli nieprzechodzili gdzie, i jakiej są broni?

—Nie ma, i nie przechodzili!—odpowiedział— ale jest jakiś pan od Moskalów w domu zajezdnym na trakcie; ma dwóch żołnierzy i ciągle kogoś wygląda!

— Pokaż mi ten dom! — powiadam.

— Dlaczegi nie mam pokazać? — i wskazał mi oberżę.

Kazałem rozpuścić chorągiewki dla większego efektu, bo po drodze, w marszu zwykle je zwijano. Ze zwiniętemi choręgiewkami, często miano nas za kozaków, a to było mi na rękę; bo wtenczas używałem moskiewskiego języka,

---

*) „Sława Bohu“ to nasze pułkowe hasło bojowe, używane zamiast „hura“.

zapytując ich energicznie, a na odpowiedź nie czekałem i chwili. Czasami insygnia moskiewskiej swobody, „Nahajka“ utwierdzała ich dostatecznie, że to patrol kozaków.

Rzecz dziwna! w środku rynku, nim do wskazanej oberży dojechałem, spotykam kolegę Marcina Wyliżyńskiego, który, jak gończy tropem do nas dotarł. *)

Spostrzegłszy go, pytam ze zdziwieniem, co tu robi?

On na to mi powiada: „Muszę regulować omyłkę dowódcy, który porucza niedołężnym wycieczki; ty masz szczęście, a ja rozum, więc wszystko jeszcze w porę naprawię. Ale żart na stronę! Dziś dokładnie przekonałem się, że wilka głód tłumi tylko i ja z tego powodu wyprzedziłem oddział; dyabelnie bowiem głodny jestem i zdaje mi się, że psa bym zjadł nawet, byle był tylko dobrze upieczony! czy niewiesz gdzieby tu można posilić się?“

Na to przychodzi mi koncept pożartować i pomścić się za wyraz choć niewinnie wypowiedziany „Niedołężny“ i mówię:

— Widzisz Marcinie! tą razą pokazuje się, że ty masz szczęście, a ja rozum, obiad bowiem zamówiłem, a flaki z papryką, (które on bardzo lubił i dużo ich zjadł), już się gotują.

— Skoro tak, to nie wstrzymuję twoich rekonesansów, ale powiedz, gdzie ten zbawienny przybytek z flakami, bo już aż ślinkę połykam.

— Jedź powiadam, w lewo na koniec miasteczka, od pola uważaj, gdzie biały komin w chacie mieszczanina, a tam znajdziesz flaki zapewne już gotowe... Ja przejadę się tymczasem traktem pocztowym, może podróżnych jakich napotkam i natychmiast wrócę z moimi towarzyszami, bośmy wszyscy dyabelnie głodni.

— Jedź! gdzie cię oczy poniosą—odpowiada na to—a ja już węchem trafię do chaty, gdzie są flaki, a nie baw się długo, bo nie wiele zastaniesz!— I odjechał.

Była to długa osada; można sobie wyobrazić, jak Marcin szukał flaków, których nigdzie nie było! Ja tymczasem podjechałem do owej oberży, w której jakiś jegomość na coś oczekiwał. — Obstawiwszy dom moimi szeregowcami, z pistoletem w ręku wchodzę do karczmy i we drzwiach spotykam szlachcica, który mnie wita uprzejmie, mówiąc: „Ach! cóż to za szczęśliwa chwila, że jeszcze przed śmiercią, chorągiewki polskie widzę!“

— Miło mi, że panu taką przyjemność zrobiłem, mówię, ale wskaż mi tutaj jakiegoś jegomości, który czeka na kogoś i ma dwóch żołnierzy przy sobie.

— Wszak ci to ja jestem! odpowiada, ale siebie i całą komendę moją oddaję do rozporządzenia panu porucznikowi. Spuść kurek! Jestem Kasperski, z pradziadów Polak a niegdyś Kościuszkowski towarzysz, dziś komisarz rządowy przy powózkach, czyli pogońcach, których obywatele w Rosyi podczas wojny dostarczać muszą. — Ze strony marszałka powiatowego zostałem na ten urząd wydelegowany! — Powózek mam 64 i te wkrótce nadejdą, na nich mam owies, jagły, słoninę, a i konie przy nich są dobre i przydać się mogą bardzo; a zbliżając się do ucha szepcze mi: i coś jeszcze ważniejszego, ale o tem później powiem.

Wezwał potem swoich dwóch inwalidów, podoficerów i objawił im, że wraz z nimi jest aresztowany.

Podoficerów nagnałem do chaty i zakazałem wychylać głowy ztamtąd pod karą śmierci.

Kaspersio poczciwy, złożył swoje pistolety i dwa karabiny sołdackie, które zaraz kowalowi do połamania w kawałki na jego użytek darowałem. Załatwiwszy to wyszedłem, aby kryte widety ustawić, to jest, kazałem żołnierzom z koni pozłazić. Potem wracam do Kaspersia rozciekawiony, co mi ma jeszcze powiedzieć, bo obiecał najciekawszą i najważniejszą rzecz, na ostatku objawić, lecz on się ociąga, mówiąc, że jeszcze nie czas! — przytem pyta, wielu nas jest? bo wiedz pan, że mój woźnica jest doskonałym kucharzem i mógłby przygotować jedzenie.

Tu sobie przypominam Marcina, żem go tak zwiódł i od niechcenia zapytałem, czyby on niezgotował flaków?

— Są panie, właśnie cały garnek gotuje się.

— Wyśmienicie! uradowany zawołałem. Każ pan jak najwięcej tych specyałów z imbirem po staropolsku gotować!

— Mój kucharz wie, co należy i zapewne nic im brakować nie będzie. Krząta się koło nich od dwóch godzin i zapewne muszą być gotowe. Jeżeli pan chcesz, każę je dać.

— Czekaj pan, zmiłuj się! nie idzie tu bowiem o mnie! Nadbiegnie tu zapewne mój przyjaciel Wyliżyński, wielki amator tej potrawy a zjada jej tak dużo, że obawiam się, żebyśmy go nieskrzywdzili.

— Bądź pan spokojnym! wszak ten baniak na sześciuby wystarczył; mam oprócz tego kiełbasę i karasie, które żydzi przywieźli, każę to wszystko ugotować, słowem nic nam nie braknie w tym dniu złotym mojej starości.

A potem, jak wszystko z łaski Boga zabierzemy, mówi poczciwy Kaspersio, zdam sprawę marszałkowi i zamiast do Włodzimierza, udam się do mojej staruchy; a jak jej rozpowiem, to prawdziwie, że aż odmłodnieje; bo to twarda Polka! kicha mospanie jak Moskala zdybie, bo zaraz w nosie jej kręci! — Wtem spostrzega w oknie Wyliżyńskiego i mówi: „Pan oficer nie uroku, chłop jak dąb! jest komu, ale bo i baniak nie lada. Zobaczymy!

Marcin wpada z pistoletem w ręku i mówi: „Nigdzie flaków nie znalazłem! a nawet takiego domu, jak mi opisałeś tu nie ma! Jeżeli to żart był, to... do śmierci ci tego nie zapomnę!

— A gdzieżbym ja kochany Marcinie z ciebie żartował? Cały baniak flaków z papryką, a oprócz tego kiełbasa i karasie, czekają na ciebie bracie. Uraczę cię tak, że tego do śmierci nie zapomnisz! I istotnie pamiętał tę ucztę, która mu na czasie była. Zakomenderowałem więc, żeby flaki dano, które w momencie dwaj jeńce moi z garnkiem na stole postawili. Rozpromieniony Marcin zadziwiał nas, a szczególnie Kaspersia swoim apetytem. — Poczciwy Kaspersio sadził się na przyjęcie, a jadła wystarczyłoby na cały pluton.

Po chwili wszedł szeregowiec z oznajmieniem, że powózki idą. Zostawiłem więc przysmaki i Marcina przy nich, poleciwszy mu dozór nad aresztowanemi, bo tak było umówione z Kaspersiem, żeby nikt nie wiedział, że się dobrowolnie poddał.

Kazałem powózkom stanąć na czystym placu obozem, a przeliczając je, spostrzegłem chorągiewki awangardy, zbliżającej się jazdy naszej.

Podbiegłem z raportem do Różyckiego. Był bardzo rad z tej zdobyczy, oddał 20 powózek z prowiantami pod dozór oficerowi Margulcowi a resztę komisarzowi, mówiąc: „rób z tem co chcesz, bo ja tego nie potrzebuję“.

Kto chciał z pogońców, to uciekł, a nikt go nie gonił; był to prawdziwy ambaras ze szczęściem, nie posiadaliśmy się z radości.

Dopiero teraz odkrył mi poczciwy Kaspersio swoją tajemnicę, na ostatek, jak na deser zachowaną; była nią wiadomość, że kacapi lada chwila nadwiozą wielką ilość amunicyi i istotnie wkrótce się też pokazali.

W koczyku na przodzie jechał sam podradczyk, który od puda biorąc zapłatę, miał za pewną ugodą dostawić amunicyę do Lublina. Sam mi powiedział, że na tem nie straci, gdy amunicyę zabierzemy, bo ma od rządu marszrutę. A jeżeli rząd nie wie, gdzie jest jego nieprzyjaciel, niech workiem dołoży.

Dowódca nasz kazał zostawić trzy beczek prochu pistoletowego, a resztę zatopić, co w dwóch godzinach się stało. Kacapom daliśmy owsa, ile który chciał nabrać i po rublu na drogę, za co nas obsypali tysiącem błogosławieństw.

Nad wieczorem dopiero wymaszerowaliśmy ztamtąd, a rano bardzo stanęliśmy w Międzyrzeczu w majątku Józefa Steckiego. Wysłannik od komitetu w Żytomierzu, do którego depeszę woziłem, czekał na nas w mieście. Wyszedł naprzeciwko mnie, mówiąc, że od wczoraj czeka i wysłał żydów na zwiady, czyli nie inną drogą maszerujemy, bo ma ważne rzeczy do powiedzenia. Wiedząc, jakie mam zaufanie u Różyckiego, powiedział w krótkości, że za nami wyprawiono dwa pułki kompletne konnych jegrów, każdy z sotnią kozaków i to spiesznym marszem, z których jeden idzie od Włodzimierza a drugi od Kowla; resztę szczegółów samemu Różyckiemu opowiedział. Wskutek tego wyszedł rozkaz, jak naspieszniej co można ekspedyować i być gotowym do marszu.

— Jutro, rzekł Różycki, zdaje się będziemy mieli obiecanych gości przed sobą! ale w Bogu nadzieja, po starciu się pójdziemy swobodniej do Bugu. Sotnia kozaków, to bagatela! jednakowo jest to plaga, z swojem alarmowaniem ciągłem, a bić nie ma co, bo uciekają! Armia Napoleona Igo była tak alarmowaną przez nich

---

*) Trzeba wiedzieć, że Różycki kazał mi zawsze w największej skrytośei przed nim wszystkie polecenia spełniać, mówiąc: „Wiem bracie, że jesteś z Wyliżyńskim w przyjaźni wielkiej! Zapowiadam, że jego brawura przeszkodzić może w wykonaniu moich planów! Jemu też nigdy nieporuczę żadnej ważnej ekspedycyi, bo poznałem go dobrze! — Jest tam odwaga i siła nadzwyczajna; ale wlezie wszędzie, licząc na swą siłę!... Ja odwagę oceniam, ale tam gdzie jej potrzeba: samowoli nie cierpię!“

Wyliżyński był nadzwyczajnie silny! Jedną z licznych prób jego siły, opowiadaną mi przez właściciela majętności Czortowca, gdzie to zdarzenie miało miejsce, powtórzę: — „Miałem u siebie, mówił, męzkie towarzystwo. — Jesień była piękna, więc uradziliśmy polowanie z chartami. — Kazałem dla wszystkich konie moje wierzchowe wyprowadzić; — a że towarzystwo z kilkunastu osób się składało, więc musiano jednego konia użyć, który był nadzwyczajnie twardy w pysku i unosił. — Wiedziałem o sile Wyliżyńskiego i dla tego nie komu innemu, tylko jemu tego konia dać kazałem, spodziewając się, że przecie on łatwiej, jak każdy z nas, powstrzymać go jest wstanie; jednakowo uważałem za obowiązek uprzedzić go o tem. — Niezdarzyło mi się jeszcze na takim koniu siedzieć, odpowiedział, któregobym nie osadził tam, gdzieby mi się podobało!... — Jego pierwszego nie osadzisz, Marcinie, założyłbym się. — A więc dobrze, o kosz szampana! .. Mój dziedziniec był spadzisty, od dworu do bramy ze 150 kroków. — Chciałem więc żeby z góry na dół, t. j. od ganku do bramy konia wypuścił i w samej bramie osadził.., Pomknął więc z kopyta galopem i w samej bramie osadził, ale tak gwałtownie, że koń przysiadł i już więcej nie wstał, miał bowiem krzyże złamane!... I konia straciłem i szampana zapłacić musiałem“. P. A.

że najprzebieglejsze zasadzki wymyślano na nich i te tylko polskim ułanom się udawały. A rzadko tam który kozak zyskał od nich pardon.

Józef Stecki, prawdziwy magnat polski, kazał nam odemknąć swoje stajnie, z których zabrano prawie wszystkie konie, niby gwałtem.

Księża Pijarowie, najszanowniejsi zakonnicy w Polsce rozpuścili wszystkie klasy wyższych kursów z przemową: „że dług ojczyzny jest przedewszystkiem do spełnienia, kto się więc w sile czuje, niech spieszy do kościoła dla odspiewania „Te Deum“, a następnie do obozu pod rozkazy dowódcy Karola Różyckiego! Nam księżom, mówili Pijarowie, przypadł obowiązek modlić się gorąco za pomyślność polskiego oręża, a wam dzieci z polskiej krwi walczyć do ostatka, a Matka Boska, królowa korony polskiej wynagrodzi swą opieką i za grobem cnoty Polaków!“ — To też kilkunastu ochotników wzmocniło szeregi nasze.

Starszych nie wielu było w gimnazyum pijarskiem, bo ci dawno już w różne miejsca się udali, dla wzięcia udziału w świętej wojnie. Na nieszczęście, dużo 14 i 15 letnich studentów czepiało się naszych powózek, wobec których i perswazya nic nie pomagała i przedstawienia, że są jeszcze za wątli na trudy wojenne, że na później się przydadzą i t. p. trudno było ich się pozbyć. Z płaczem wołali: „My mamy siłę, zobaczycie panowie przy pierwszej bitwie!“

W parę godzin dopiero opuściliśmy Międzyrzec. Różycki był bardzo niespokojny o obóz ciągnący się daleko za oddziałem, spodziewając się każdej chwili pogoni, a osobliwie tej zapowiedzianej sotni kozaków. Dla tego też często mnie wysyłał na tyły, ażeby sprężyście wykonywano dozór, i baczyć by furgony nie zostawały w znacznej odległości od oddziału.

W marszu tem przeglądał mapę, a miał każdej gubernii kartę najdokładniejszą, śledził co mu było potrzebne, mówiąc:

— Postanowiłem drogą kowelską iść do Bugu, a ta, co widzisz na prawo, idzie na Włodzimierz. Czy bywałeś w tych stronach?

— Aż do samego Kowla są mi miejscowości znane, odpowiedziałem, ale w samym Kowlu i dalej nigdy nie byłem.

— Nic nie szkodzi, bo samego Kowla dotykać niepotrzebujemy; w okolicy tej jednak manewrować musimy, dla ściągnięcia rozbitków z powstania Narcyza Olizara, którzy między obywatelami w ukryciu czekają tylko na sposobność przyłączenia się do nas. — Za miasteczkiem Berezno, mówił dalej Różycki, zaczynają się lasy poleskie, cudowne pozycye do staczania bitew, gdyż łatwo się tam zakryć! Musimy tak maszerować, żeby aż tam dać się dopędzić Moskalom i tam dopiero sprawimy im łaźnię!

(C. d. n.)

STUDYA ESTETYCZNE.

przez

WOJCIECHA DZIEDUSZYCKIEGO.

Sztuka Wenecka.

(*Ciąg dalszy.*)

Może niejednego to zadziwi, że mówimy o Chrystusie z groszem w Lorecie a nie w Dreźnie. Nie czynimy tego jednak bez przyczyny. Obraz drezdeński najpierw wcale nie ma kościelnego nastroju, powtóre jest tylko nieco zmienionym wykrojem z wielkiego obrazu Loretańskiego, a wreszcie nie nosi na sobie śladów mistrzowskiej ręki Tycyana, i albo nie był przez niego samego malowany, albo uległ niejednej zmianie w przeciągu wieków. Obraz w Lorecie, jest ćmiącym akordem barw. Chrystus sam, piękny mężczyzna, o bursztynowej cerze, idealnych rysach, a obfitych czarnych włosach i takimże poroście, stoi we środku obrazu, odwrócony z wielkim i boskim spokojem ku kuszącemu Faryzeuszowi — a faryzeusze ugrupowali się po jednej i po drugiej stronie — na twarzach ich znać grę namiętności godną pędzla florentyńskiego mistrza — ale przedewszystkiem niewidziana gdzieindziej pełnia kolorów zatrzymuje oko. Czerwone, ciemne, niebieskie, zielone i lilijowe barwy, o silnych cieniach, a jaskrawie ubarwionych światłach biją wielką falą niskich męskich wyrazistych tonów — i żaden klejnot najdroższy tak nie ćmi oka, jak to malowanie — podobnie uroczyste, jak kościelna muzyka poczęta w łonie jakichś ogromnych organów.

Mały obraz w *casa Buonarotti* może jeszcze większe i uroczystsze robi wrażenie. I tu gdy spojrzysz w ramy, wiesz z razu o tem tylko, że jakieś cudne barwy hymn przed tobą śpiewają. Nie wpatrujesz się w szczegóły, nie rozróżniasz twarzy — a czujesz, że to piękne, ciche — że to mówi o przebaczeniu i świętości.

W tym obrazie jest mrok, który wszelki niesforny krzyk barw uśmierzył — i taka tu cisza jak ta, którą modlitwa sprawia gdy namiętności milczyć każe, gdy rzuca cień przebaczenia na wrzaskliwe wyrzuty sumienia. Gdy się wpatrzysz, ujrzysz wśród mroku, śniadą, niewysłowienie piękną i spokojną twarz potężnego Chrystusa, co łagodnie oczy spuścił, patrząc z ojcowską nieskalaną miłością na bladą jawnogrzesznicę, tulącą się do jego łona przerażoną, drżącą jeszcze. I barwy co z pod cienia wyglądają, barwy szat są stanowcze, uroczyste, intensywne, a jednak przygłuszone mrokiem, i uczucia wielkie i gwałtowne, a zacienione przez święte skrzydła skruchy i przebaczenia. Jest tu przestrach i rozpacz jawnogrzesznicy, ukojona miłością i wszechmocą Zbawiciela — jest modlitwa wspaniale odmalowana przez Tycyana.

Ale arcydziełem nad arcydzieła Assuntá czyli Wniebowzięcie. Zachwyci ono każdego, co ma oko czułe na barwy, a kto pod tym względem mniej wrażliwy, będzie się dziwił niepomiernemu zachwytowi, a jednak niejedną zaletę rysunku sam tu powita. Obraz ten dzieli los muzyki, jednym najwyższą sprawia rozkosz, dla drugich jest prawie obojętnym i obojętnym zostać musi. Przechowują go jako klejnot najdroższy Wenecyi w bogatej i strojnej sali, na miejscu honorowem w *Academia delle belle arte*.

Obraz bardzo wysoki, a w porównaniu do wysokości wąski, u góry w krągły łuk zakończony. U dołu stanęło dwunastu apostołów o postaciach potężnych, olbrzymich i pięknych, godnych Michała Anioła lub Fidyasza. Ściśnięci razem, tłoczą się, a stanęli w postawach wzruszenia najsilniejszego a widocznie radośnego, bo oczy wszystkich i ręce do góry wzniesione, bo kroki lotne jakby ulecieć albo pląsać chciały. Nadludzkich nadludzka porwała uciecha. Nad ich głową wygina się obłok podtrzymywany i zaludniony przez niemowlęcych i podrastających już aniołków, a tworzący wywrócony łuk krągły. Wszystko tu w ruchu gwałtownym i niebiańskiem uniesieniu. Jedno niemowlątko skrzydlate dźwiga niby obłok, dwoje aniołków pacholęcych już prawie śpiewa hymny po lewicy — po prawicy starszy aniołek wskazuje mniejszym Maryę. Wyciągnął rękę, otworzył usta, bo mówi, a spuścił oczy, patrząc na rój cherubinów.

Wszystkich oczy zwrócone ku jasnowłosej Maryi, pięknej i potężnej jak zjawienie. Nadziemska, przemocna, szalona prawie radość ją porwała. Pląsa, skacze, ulatuje do nieba; szaty jej rozwiał wicher przestrzeni; ręce jej rozwarte i gwałtownie wzniesione do góry, oko jej szuka nieba, usta tak rozwarte jak u kobiety co z radości mimowoli krzyczy, śmieje się i śpiewa.

U samego szczytu kompozycyi ulatuje Bóg Ojciec, z aniołem u prawicy, potężny, wielki i spokojny. W jednych postaciach widzimy tu wielką, groźną potęgę, w innych niewysłowiony wdzięk, obraz ten tedy i pod tym względem łączy w sobie zalety, które się rzadko schodzą. Myśl jedna i wzniosła cały obraz przenika. Widać w nim radośną łączność świata z Bogiem. Święci na ziemi radują się chwałą już wniebowziętych, Marya otoczona orszakiem aniołów cieszy się widokiem Boga, Bóg miłośnie ku niej rozwarł ramiona. Wszystkich oczy zwrócone ku Maryi, która tworzy rzeczywisty środek obrazu, i wielką różność motywów w całość wiąże, a pionowy układ kompozycyi już i samemi tylko liniami oko i duszę odrywa od ziemi.

Pokoju tylko tu nie ma. Światowy Wenecyanin chciał tu odmalować radość, uczucie gwałtowne, ludzkie, budzące potężne współczucie i oddał ją jak mistrz prawdziwy. Weselisz się wraz z świętymi i Bogiem, ale gdy widzisz taką radość, myślisz że i dla nich istniały trudy, o których nie wiesz, czy je zwyciężyć zdołają. Tu tylko raz w życiu przekładał Tycyan głośne uniesienie radości nad pokój bezmyślnego prawie szczęścia.

Światło w obrazie całym bije z góry od Boga, z miejsca kędy najuroczystsze barwyześrodkowane. Szata Boga fioletowa odbijająca od nieba barwy ciemno zielonawo błękitnej środkiem światła. Ztąd idą promienie na cały obraz i łamią się cudownie na ciałach aniołów, na karnacyach owych nagich skrzydlatych dzieci, na szatach Madony, na ciemnym szarym obłoku, na którym tworzą szerokie różowe rąbki i wreszcie na obliczu apostołów. Światło to przenika całe niebo, ale więcejześrodkowane u góry tak, że Tycyan malował tam błękit prawie na żółty, a fiolet szat prawie na niebiesko, jeźli mamy mówić nie o wrażeniu, które rozświecone barwy robią na widza, ale o materyalnych kolorach, których mistrz użył. Widz widzi tylko wielkie światła buchające ze środka nasyconego uroczystą, ciemną barwą, a więc światło istnie cudowne i nadprzyrodzone.

Im niżej, tem mniej rozświecone postacie, tem dalsze od Boga i cudu, tem bardziej ukryte w ziemskim cieniu. Szaty jednak na nich zlewają się w wspaniały akord dwu barw, czerwonej jaskrawo i ciemno zielonej, zestrojony w całość z dziwnem niebem. I obok oświecenia, co się tak cudnie łamie, obok rozkosznych karnacyi, ów na głęboki ton zestrojony akord zachwyca, przenosi w świat wymarzonego cudu, i okazuje barwę w całym niewysłowionym, świetlanym majestacie Odsłonięte tu jej najskrytsze własności, widzisz jak się zmienia pod wpływem świateł przeróżnych, jak jaskrawo się budzi za dotknięciem promienia, jak gaśnie w ciemności, jak się przemienia przy innej barwie, albo wśród promienistego otoczenia, jak ciemnieje na tle zło-

cistem, jak się zmienia tysiąckrotnie, zostając sama sobą. Barwa ta występuje w pełni największej i w największej sile, stanowcza i głośna a jednak harmonijna, zadziwia cię bogactwem rozmaitości, uderza mocą niewidzianą na ziemi, uderza jako rzecz wyższa, potężna, duchowna, nieśmiertelna, przemawia językiem, o którym Słowacki mówi w Królu Duchu, gdy każe aniołom rozmawiać za pomocą światła i koloru:

„Język był z słonecznej miłości wzięty,
Nią złoty, gdy się zniżał malowany.
Lecz cały wielki, otwarty, natchnięty
I nie mówiony, lecz z ducha błyskany.

Takim to językiem przemawia Tycyan. Czy kogo innego nauczył tej mowy? I spółcześni i potomni odpowiadają, że nie, i zdaje się że odpowiedź to prawdziwa. Nie jego jednak w tem była wina, bo mnogich uczniów nauczył wszystkiego, czego nauczyć można.

Najbliższym może mistrza był *Bonifacio Veneziano.* W Brerze w Medyolanie widać nagiego świętego Sebastiana, z rękami związanemi nad głową ze strzałami w boku, ze wzrokiem natchnionym, młodzieńca pełnego słodyczy, nadludzkiej stałości i wdzięku, godnego ze wszech miar Tycyanowego pęzla i Tycyanowej myśli. W tejże galeryi jest kompozycya przezwana odnalezieniem Mojżesza. Ale darmobym się silił odgadnąć zkąd ta nazwa pochodzi. Jest to poprostu cudna majówka wyprawiana przez strojnych Wenecyanów i strojne Wenecyanki wśród zielonego gaju. Szaty lśnią cudownie, karnacye ćmią białością, rumieńcem i bursztynem, zielona trawa ugina się pod wesołem towarzystwem, co żyje w owej ozłoconej szczęśliwości, w której żyły piękności Tycyana.

Moretto da Brescia stworzył również dzieło, policzone przez krytykę do dzieł pierwszorzędnych prawie. Mam na myśli świętą Justynę w Belwederze wiedeńskim. Kobieta w bronzowej sukni, trochę nadto otyła, z palmą zieloną w ręku, a bardzo i z wenecka piękna, stoi bezmyślnie przy drewnianym heraldycznym lwie wśród pięknego krajobrazu. Mężczyzna nie piękny, nie młody, a tłusty klęczy u jej stóp w czarnym aksamitnym stroju. Ma to uprzytomnić jak św. Justyna gardziła miłością królów tej ziemi i bezpiecznie wśród drapieżnych bestyi przebywała. Ale to tego nie przedstawia wcale. Widzimy tylko nadzwyczajnie malowaną, zdrową, piękną i prostą kobietę, a nie pięknego mężczyznę. Wielka tu siła i prawda w barwach, ale nie ma muzyki kolorytu.

Więcej malował *Paris Bordone,* który się lubował w nagich męskich i niewieścich ciałach, dobrze, ale trochę nadto realistycznie malowanych. Najwięcej postaci wyszłych z jego pęzla jest znów w Wiedniu w Belwederze, a wszystkie mają na szerokiej piersi czerwoną plamę, której nie ma w naturze. I on jednak raz odmalował prawdziwe arcydzieło, sławiąc szczerze wenecką legendę w zupełnie godny Wenecyi sposób.

W weneckiej akademii sztuk pięknych stoi obraz ogromny choć przecie mniejszy od Assunty, prawie całkiem kwadratowy, a przecież trochę większy w zwyż jak w szerz. Na nim widać nadzwyczaj wspaniałe miasto, podobne do Wenecyi, ale jeszcze o wiele piękniejsze. Morze weszło do tego miasta, i schody pałaców wprost schodzą do morza. W głębi jednak rozlega się ogromny plac, na którym stanęły gmachy stokroć piękniejsze od tych nawet, które Sansovino stawiał, bo gmachy, które powstały tylko na płótnie i ani z kosztem, ani z techniką liczyć się nie potrzebowały. Po owym placu, po marmurowej posadzce, w promieniach słońca przechadzają się panowie i panie w malowniczych strojach współczesnej Wenecyi.

U przodu, na pierwszym planie stoi wspaniała nad wyraz lodżdżya przytykająca do morza, w której zasiadają Doża i senat wenecki w szatach lśniących od złota i purpury. Małe to postacie, ale godne i uroczyste. Człowiek ubogo w bieli ubrany klęczy przed Dożą i podaje mu pierścień, a łódź jego stoi w morzu u schodów lodżdżyi. To rybak złowił zgubiony pierścień Dożów i oddaje go księciu rzeczypospolitej.

Nigdzie świecki i jasny koloryt świetniej jak tu nie występuje, gdzie tylko marmur i złote a purpurowe szaty, lśnią wobec błękitu morza i nieba, przy mistrzowskich karnacyach. Świetlano tu, godowo, weselnie, uroczyście i zupełnie bezmyślnie. Jeżli chcesz już koniecznie myśl jaką odnaleźć, jeźliś nie Wenecyaninem i jeźli ci biesiada oczu nie wystarcza, szukaj za myślą w malowanej architekturze i w jasnym układzie mnogich postaci. Gdzieindziej jej nie znajdziesz. Więc radzę ci ciesz się barwą i światłem.

Inny obraz, w którym jest już i myśl i uczucie, obraz równie wielki stoi w tej samej sali. Malował go umarły za młodu *Rocco Marconi,* i stworzył tem najpatetyczniejszy obraz starszej weneckiej szkoły. Środek obrazu zajmuje krzyż, pod którym siedzi Matka boska w czarnym zakonnym stroju, piękna, młoda, wiotka, idealna, z wyrazem spokojnej a głębokiej żałości, z twarzą obróconą do widza, oparta o krzyż. Szczupłe i słabe ciało płowego Chrystusa legło przed nią, lśniące od miękkich karnacyi i pozbawione śladów śmierci i męki. Po prawicy święta Salomea, podobnież za zakonnicę przebrana w głos zawodzi, wyciągając do góry ręce, a piękny, choć na pół zniewieściały święty Jan klęknął koło przenajświętszego ciała. Po lewicy boleje Marya Magdalena szlachetnie i spokojnie, a niebo nic o tej boleści nie wie i szkli się nieskalanym błękitem. Wielki krajobraz zielony i otwarty mai się tysiącem wdzięcznie a drobnostkowo wykonanych szczegółów, a króliki białe pasą się w bezmyślnem szczęściu. Matka natura nie wie o męce swego Pana i cieszy się błękitem i zielonością. Cieszy się wiosną i tylko czarny krzyż wielką plamę tworzy wśród nieskalanego błękitu. U dołu krzyża wiotkie, wdzięczne, słabe i piękne postacie boleją szlachetnie, i wielkie masy białej barwy mieniają się z masami barwy czarnej, karnacye nawet choć miękkie są białe prawie. Nie masz tu siły, nie masz heroicznych akordów barwy, ale masz koloryt harmonijny, uczucie dziecinne, dziecinnie pojętej natury, i prawdziwie wdzięczny i czuły oddźwięk spokojnej traiki.

Gdy jeszcze *honoris causa* wspomniemy *Schiavonego* i *Marka Basaitego* wyczerpiemy poczet malarzy będących posłusznymi uczniami Tycyana i lubujących się podobnie jak on w klasycznem ciele pięknie przystrojonem w weneckie szaty. Inni uczniowie wielkiego mistrza *Paolo Cagliari il Veronese, Giaccobo Bassano da Ponte, Giaccobo Robusti il Tintoretto* i *Giaccobo Palma giovine* popchnęli sztukę śmiałą ręką to na romantyczne, to na salonowe już tory i rozwarli na rościeź bramę sztuki nowożytnej. Im tedy nowy rozdział poświęcimy. (C. d. n.)

WRAŻENIA Z PODRÓŻY
NA WSCHÓD

przez

J. z T. T-R.

(Ciąg dalszy.)

Zmęczona tą wycieczką, nie miałam odwagi następnego dnia należeć do grona zwiedzających piramidy w Sakkarah o siedm godzin od Kairo odległych a rozciągających się około starożytnego Memfis, w których głównie znajdują się groby uświęconych wołów*) i innych bóstw starych Egipcyan.

Po całodziennym spoczynku udałam się nazajutrz do niektórych muzułmańskich świątyń, Moszeami (meczetami) zwanych, celem dokładnego poznajomienia się z niemi. Pomimo „bakczisów" nie do każdej wstęp jest dozwolony i dopiero osobna karta, o którą postaraliśmy się za pośrednictwem właściwego konsulatu, ułatwiła nam wejście.

Olśniewającego przepychu jest moszea Mehmed-Ales, wzniesiona na wzgórzu cytadeli; wnętrze jej eleganckie przypomina raczej salon wspaniały niż dom modlitwy; ściany żółtym marmurem wykładane, tysiące lamp rozwieszonych, kobierce najpyszniejsze, a w pośrodku na tle ciemnem wyniosła kopuła ozdobiona różnobarwnemi, złotem bramowanemi arabeskami, przez którą tajemnicze światło spływa na całą świątynię. W miejscu, gdzie zwykle w naszych kościołach stoi wielki ołtarz, znajduje się w każdej moszei nisza w kierunku Mekki, i ku niej Mahometanie zwracają się w swoich modlitwach. Dalej jest tron osobny dla króla i nagrobek jego marmurowy, gdyż każdy z panujących za życia buduje dla siebie moszeę i grób zawczasu przygotowywa sobie i nie zapomniano i o osobnych, oddzielonych wysoką balustradą miejscach dla haremu, gdyż i po śmierci władca chce spoczywać w gronie swoich hurysek. Zazwyczaj przed każdą moszeą znajduje się wspaniały basen z wodą, gdyż Koran nakazuje obmyć się przed wejściem do świątyni. Każdy też z wchodzących zdejmuje w przedsionku obuwie, a nadewszystko giaury, więc w pończochach lub w trzcinowych pantoflach stąpa się cicho po miękkich jak puch dywanach. W starożytnej, ale przejmująco zimnej moszei Erher, wysłanej samemi tylko rogóżkami, inny widok się przedstawia. Robi ona wrażenie jarmarku raz dlatego, że jest przechodnią, a powtóre dla mnóstwa kramów i przekupniów, którzy ją otaczają. Krzyk i wrzawa panuje tu bez ustanku: w jednem miejscu wykładają głośno Koran; obok szkoła z mnóstwem dzieci uczących się i krzyczących w niebogłosy; indziej znowu tłumy Arabów krążących do koła, lub zgiętych w kuczki i łatających swoje odzienie, słowem jest to coś nakształt oberży, gdyż każdy Mahometanin przybywający do Kairo, obowiązany jest odwiedzić to uświęcone miejsce, w którem się też, jak w hotelu, przez czas swego pobytu bez żenady lokuje.

Jednego piątku, po obiedzie koło 2giej godziny, wybraliśmy się w liczniejszem towarzystwie na osiołkach do klasztoru derwiszów, by się przypatrzeć odprawianiu nabożeństwa przez tych zagorzałych fanatyków muzułmańskich. Różne są rodzaje derwiszów: jedni tańczący, drudzy płaczący, inni jeszcze wpadający w ekstazę, a my właśnie trafiliśmy na nabożeństwo derwiszów pła-

*) Mowa o Apisie.

czących. Po zwykłych ceremoniach, to jest po zdjęciu obuwia, wprowadzono nas do wnętrza świątyni; w półkole ustawione krzesełka wskazywały miejsca dla widzów, drugie półkole przedstawiało scenę, na której dla oka Europejczyka miała się odegrać komedya, lecz komedya w ciągu swym tak przerażająca, iż delikatniejsze usposobienia nie były wstanie wytrwać do końca. Z wolna poczęli się zgromadzać owi kapłani rozmaicie ubrani, w długich białych koszulach, w kolorowych kaftanach, w wysokich spiczastych czapkach. Przełożeni, przystrojeni byli w jaskrawe sterczące pióra i płaszcze, w pasy pstrokate, z długiemi bogatemi brodami; szeik czyli przewodniczący, wstęgą na piersiach przepasany, z rodzajem buławy w ręku. W liczbie kilkudziesięciu utworzyli koło, zasiadłszy po wschodniemu na nogach złożonych pod siebie. Szeik zaintonował pieśń, i kilkadziesiąt głosów poczęło wtórować spokojnie „*Allah!*“ Po chwili, coraz głośniej i tak crescendo, aż głuszący dziki krzyk zawrzał w około; zerwawszy się ze swych miejsc, poczęli kiwać się na obie strony naprzód i wstecz, przeginać pociesznie, a długie ich rozpuszczone włosy, splecione w warkocze i zwisające do kolan (tak piękne, iż niejedna z pań pozazdrościłaby im takowych:) miotały się w powietrzu, zakreślając rozmaite zygzaki. Pot lał się strugami z ich oblicza, piana toczyła się z ust, a do taktu odzywały się piszczałki, bębny i talerze brzęczące. Nagle wybiegł młody chłopak na środek i począł się kręcić na jednej nodze. Szeik, widząc wzmagający się zapał, równający się, rzec można wściekliźnie, począł uspokajać gwałtowniejszych, którzy padali bez zmysłów, na ziemię — w szalonym, dzikim obłędzie.

Nie mogłam wytrwać do końca; uciekłam na świeże powietrze, by otrząść się z przykrego wrażenia i już resztę dnia poświęciłam przeglądaniu sklepów, robiąc rozmaite sprawunki, i przygotowując gościńce dla przyjaciół i rodziny.

Jeszcze na statku do Aleksandryi poznaliśmy tutejszego jubilera, p. Moor, który często zapraszał nas do swego sklepu przy ulicy Muski i pokazywał nam wyborowe turkusy, które obficie znajdują się na górze Sinai, chwalił się klejnotami, w rzeczy samej bardzo pięknymi i drogocennymi, które jego matka, staruszka, dowozi do haremów królewskich. Już był mi nawet obiecał, że będę mogła uczestniczyć w jednej z tych wizyt, lecz słusznie się rozmyślił, ponieważ panie haremowe przychodzą do poznania swej godności i obrażają się, gdy sama tylko ciekawość sprowadza do nich w odwiedziny damy europejskie. W dłuższych pogadankach przyznał się pan Moor, że ojciec jego jest żydkiem z Berdyczowa, od dawna tu osiadły; który dotąd nie mógł zapomnieć i porzucić swego rodzinnego żargonu.

Wiele jest podobieństwa w akcencie i wyrazach arabskich do języka hebrejskiego; chrapliwe „*ch*“ nadaje obu właściwy wschodni charakter. Uczyliśmy się i zapisywali konieczne frazesa, słowa i liczby arabskie, lecz pomimo to w wielkim znaleźliśmy się razu pewnego kłopocie, chcąc się przejechać łódką po Nilu, a nie mogąc znaleźć na zamiar nasz właściwego wyrażenia.

Błądząc długo po przedmieściach Kaira, zaczepiamy jeźdzca konnego, Europejczyka i prosimy go po francusku o wskazanie drogi; był to rzeczywiście Francuz, który, poznawszy w nas Polaków, wita nas serdecznie i daje znak przewodnikowi, by nam łódkę najął i bezpiecznym wioślarzom oddał. Nurty Nilowe mętnymi się wydają, lecz cały Egipt tylko tą wodą się krzepi, zimna jest, smaczna i do tego ma własność tuczenia.

Wróciwszy do miasta, wzięła nas ochota przejechania się na wielbłądzie, który przypadkowo spoczywał na placu Esbekiech. Arab stojący przy nim zezwala i każe siadać. Wielbłąd powstaje naprzód przedniemi a potem tylnemi nogami tak, że silnie trzeba się trzymać, aby nie spaść pomimo garbów zwierzęcia, w których się siedzi jak w wygodnem siodle.

Mimo to, kołysanie się wielbłąda jest tak nieprzyjemne, iż po niejakim czasie przyprawia o morską chorobę; zrobiwszy kilka prób wśród zbiegowiska ciekawych, (bo czyż ciekawie wyglądał cylinder europejski na wielbłądzie), zwierzę na dany znak przez swego pana siadło znowu w ten sam sposób, a Arab z uśmiechem przyjął nagrodę, lecz wielbłąd za to okropnym odwdzięczył się rykiem. Mówiąc o cylindrze, należy dodać, że rzadko u mężczyzn spostrzedz można europejski kapelusz, każdy przybywający, natychmiast przywdziewa fez, początkowo dla oryginalności, lecz wkrótce staje mu się tak wygodnym, że wróciwszy do kraju, nie może się z fezem rozstać, przynajmniej u siebie w domu. Tak król jak i fellach jednakowy noszą strój na głowie, lecz niestety pomimo równości fezu, fellach na każdym kroku czuje tu swą zależność. Nigdy i nigdzie feza tu nie zdejmują; przy powitaniu lub pozdrowieniu, Arab przykłada tylko rękę do czoła, ust i serca, na znak, iż ma tę osobę zawsze przyjaźnie w pamięci, w mowie i sercu: najwięcej raził mię ten zwyczaj w kościele, gdzie nawet przy podniesieniu nie uchylano feza.

Coraz więcej Arabów i Arabek przechodzi na katolicyzm, lecz zamiast uklęknięcia siadają oni wschodnim zwyczajem na ziemi, trzewiki przed wejściem zawsze zdejmują i w ręku niosą, gdyż forma ta wydaje im się oznaką najwyższego uszanowania i od niej nie odstępują. Koptów chrześcian liczą tutaj do 12 tysięcy, zamieszkują oni w Kairo osobną dzielnicę. Koptki zawelonowane przychodzą do kościoła, ubywa jednak znacznie ich liczba dla prześladowań muzułmańskich.

Nadzwyczajne panuje na wschodzie poszanowanie dla kobiet, nigdy też nie są tu one zaczepiane i niepokojone przez mężczyzn, tak, że Europejka, chcąc tu wyjść sama na miasto i nie być insultowana, przywdziewa strój Arabki i śmiało przebiega najdalsze zakątki miasta.

Miło i swobodnie przeminęły mi dwa tygodnie w Kairo, lecz czas naglił do dalszej drogi; zwróciwszy się tedy koleją kilka stacyi ku Aleksandryi do Benchy, wysiedliśmy na obiad w Zagazig. Niespodzianie, musiał pociąg czekać kilka godzin, zanim oczyszczono szyny zawiane piaskiem, ku czemu spędzono setki Arabów i ci koszami piasek odrzucali. Po długiem czekaniu świst lokomotywy dał znak do odjazdu. Droga do samej Ismaili, dokąd podążaliśmy, prowadzi przez same piaski, wśród których widać wielbłądy ogryzające karłowate krzaczki, zrzadka zabłąkane na puszczy; stacye bardzo odległe i zastosowane tylko do miejsc nad kanałem słodkiej wody położonych. Dojeżdżając do Ismaili najpierw ukazują się maszty okrętów na kanale, co nader efektowne sprawia wrażenie; zachowując sobie z powrotem wypoczynek w wypieszczonem mieście przez wicekróla, które nawet jego imię nosi, pojechaliśmy do Suez. Przybywszy o 8mej wieczorem spragnieni byliśmy ulokować się najprędzej i wypocząć po nużącej i jałowej drodze. Ze wszystkich domów zajezdnych hotel Normandyi zdawał się nam najodpowiedniejszy; zwyczajem koniecznym na wschodzie, przystąpiliśmy do targu o pokój i utrzymanie od osoby na dobę; wszystko tu liczą drożej niż gdzie indziej: osobno pokój, światło, usługę i jedzenie à la carte; a jak drą niemiłosiernie, niech to służy za dowód, że tak za 24 franki jak za 8 franków dziennie otrzymuje się *jednakowe wygody*, z małą różnicą w umeblowaniu. Kuchnia wszędzie francuska, a owoce w takiej obfitości, iż na każdem miejscu ma się ich podostatkiem. Nie przyszedłszy do zgody z Normandyą, stanęliśmy w Hôtel de France, własności uprzejmej gosposi francuskiej, która od otwarcia kanału tu zamieszkuje i żyje uroczemi wspomnieniami złotej przeszłości, a sięgającej pierwszych chwil jej pobytu w Suez, gdy to woreczek wciąż napełniał się luidorami! dziś narzeka, utyskując, iż mało kto wysiada w Suez; statki udające się do Indyi, tylko przez chwilę, dla oddania i przyjęcia poczty tu odpoczywają, słowem bieda tu jak wszędzie na świecie! Suez, miasto z rybackiej przed 10ciu laty osady, bardzo się podniosło, lecz nie postępuje, niepokojącą jest i przyszłość samego przekopu, gdyż mocno się zamula pomimo nieustannego oczyszczania; fale powstające z ruchu okrętów, obijając od brzegów masy piasku zsuwają je na dno kanału. Tu znajduje się główna dyrekcya kompanii kanału, której p. Chartreux jest dyrektorem. Dla zasięgnięcia pewnej wiadomości, kiedy statek odchodzi do Ismaili, udaliśmy się do jego willi. Tak na nim samym jak i na jego otoczeniu maluje się znużenie i zwątpienie, pochodzące z braku wielkiego ruchu handlowego, jakiego się spodziewano przez otwarcie kanału. Fale morskie igrają u stóp ogródka zdobiącego willę; w ogródku wznosi się pomnik na cześć Anglika Waghorna, który wskazał drogę i pierwszy przeprowadził przez puszczę pocztę do Indyi. Doradzono nam, że lepiej powrócić koleją do Ismaili i ztamtąd dopiero kanałem do Port-Said. Znużeni tą pieszą wycieczką, najęliśmy łódkę celem powrotu do miasta; wiatr sprzyjał nam tak dalece, iż z rozpiętym żaglem bez pomocy wioseł, chyżo posuwaliśmy się do celu; lecz że nie opodal miasta są znaczne mielizny, a przewoźnicy bardzo niedbali, więc i my nagle osiedliśmy na piasku. Dopiero za pomocą wioseł zepchnęliśmy łódź na głębię i pomimo złego prognostyku dobiliśmy do lądu. (C. d. n.)

PRZESZŁO

SIEDM STÓP WYSOKOŚCI.

Obrazek z życia londyńskiego,

z angielskiego przełożył

KALIKST WOLSKI.

Times, ogromnych rozmiarów dziennik stolicy trzech królestw, rozchodzi się w kilkakroć stu tysiącach egzemplarzy nie tylko po Anglii, Szkocyi i Irlandyi, lecz także w najodleglejsze miejsca pięciu części świata. Jest to organ interesów, namiętności, uczuć, przywidzeń i *spleenów* wyższych, bogatszych i średnich klas społeczeństwa angielskiego, którego członkowie napełniają miasta, wagony kolei żelaznych i statki parowe od Edymburga, Dublina i Londynu, do Rzymu, Aten, Kalkuty itd.

Jeden z owych niezliczonych podróżników angielskich miał dużo dobrych znajomych, z którymi chciał utrzymywać stosunki, a że nie cierpiał pisywać listów, których wypadałoby mu dość mnogą

liczbę wysyłać na pocztę, ułożył się więc, wyjeżdżając w podróż, z redakcyą *Times'a*, aby ta co miesiąc ogłaszała otrzymane od niego sprawozdanie o jego zdrowiu i wrażeniach podróży.

Tym sposobem nie tylko jego bliżsi znajomi, ale i cała publiczność pięciu części świata, czytająca dziennik *Times*, dowiadywała się co miesiąc, jak się ów zajmujący podróżny ma, gdzie przebywa i co porabia... Jednym tedy listem zastępował kilkadziesiąt, oszczędzał sobie nudną pracę pisania i koszta pocztowe, a zapobiegał wyrzutom o niepamięć lub oziębłość dla znajomych, z którymi starał się być w przyjaznych stosunkach.

Pewnego dnia wydrukowanem było w *Times'ie*:

„A*** zasyła uprzejme ukłony zacnemu przyjacielowi, doktorowi C***, zawiadamia go zarazem, że wkrótce opuści Indye i będzie w Londynie w sam dzień Bożego Narodzenia o godzinie dziesiątej rano. Z portu uda się do tawerny X*** i spodziewa się, że zastanie tam doktora. Milady przesyłając równie staremu przyjacielowi uprzejme ukłony, nie każe mu przecież oznajmić, że w Indyach miodowy miesiąc trwa rok cały. Przywieziemy do zbiorów szanownego doktora szkielet chińskiego karła, mniejszego aniżeli ów sławny *Tompus*. Nie mogliśmy znaleść szkieletu olbrzyma, żądanych przez doktora C*** wymiarów. Do widzenia w Boże Narodzenie o dwunastej punkt w południe w tawernie X***."

W pierwsze święto Bożego Narodzenia, o dwadzieścia pięć minut na dwunastą, doktor C*** wchodził do głównej sali tawerny wskazanej przez swego przyjaciela A***.

Doktor Jakób, (tak go odtąd nazywać będziemy), był najsławniejszym i najbardziej wziętym w Londynie. Wszystkie kuracye mu się powodziły i operacye prawie cudowne robił. Nie raz opuszczonego i skazanego przez wszystkich lekarzy jak Łazarza wskrzeszał. Prawdziwy urok otaczał jego osobę i kiedy przez ulicę przechodził, poczciwi Londyńczycy ustępowali z drogi z pewną bojaźnią przed tem czołem szerokiem, rozumnem i nakazującem poszanowanie. Wyraźnie im się zdawało, że spojrzenie magnetyczne doktora na wskróś może przejrzeć wszystkie tajniki ich organizmu, a że wierzyli, iż posiada tajemnicę życia i śmierci, patrzyli na jego twarz wyrazistą i ruchliwą, jak na zegar mający wybić ich ostatnią godzinę.

Gdyby wiedzieli, jak on mało dbał o nich, jak mało na nich zważał, nie mieliby takich myśli. Doktor Jakób nie znał prawie tego, co się nazywa miłością bliźniego. Dla niego chorzy byli tylko przedmiotem doświadczeń, środkiem do otrzymania sławy i źródłem dochodów. Jedyne miał tylko uczucie, a tem było: szalenie kochał córkę, jedynaczkę, i z niezmordowaną pracą i poświęceniem zbierał dla niej książęcy majątek. Na nieszczęście, umarła na kilka lat przed opisywanemi tutaj wypadkami. Pozbawiony pociechy uczuć rodzinnych, gdzieindziej szukał celu życia, i niedługo czekając, wszystkie swe myśli, czyny i wysilenia skupił na londyńskie muzeum chirurgiczne. Jak dawniej dążył jedynie do zebrania olbrzymiego posagu dla córki, tak po tej stracie bolesnej, wyłączną jego myślą, wyłącznym celem jego życia było zbogacenie muzeum chirurgicznego, i ani pracy, ani pieniędzy na to nie szczędził.

Od lat paru jedynym przedmiotem się zajmował, a mianowicie zebraniem szkieletów ludzkich wszelkich rozmiarów, żeby je można rzędem od największego do najmniejszego ułożyć na stole, stojącym na środku głównej sali muzeum.

W tym właśnie czasie, kiedy nasze opowiadanie zaczynamy, brakowało mu tylko dwóch piszczałek do tego *fletu bożka Pana* — tak bowiem żartobliwie swój zbiór szkieletów mianował. I nic dziwnego, bo też te, były najtrudniejsze do znalezienia, aby zająć dwa końce rzędu i skompletować uprojektowany przez doktora Jakóba zbiór.

Czekał więc z niesłychaną niecierpliwością na zapowiedziany powrót lorda Henryka (takie bowiem imie nosił ów podróżnik A***). Zaglądał ciągle na zegarek i mruczał sobie: za 25 minut, potem za 20, za 15 uściskam rękę tego kochanego, od dwóch lat niewidzianego przyjaciela, co tyle ma cennych przymiotów, a przytem wiezie mi szkielet karła idealnie małego.

Gospodarz tawerny widząc wchodzącego doktora C*** i gdy ten usiadł już przy jednym ze stolików, przyniósł mu kwartę piwa w naczyniu blaszanem, jak tego zwyczaj przyjęty w Anglii wymaga.

W kilka minut potem wszedł do tejże tawerny jakiś młody człowiek, na którego doktor kiwnął, aby się do niego zbliżył, a gdy przywołany przystąpił, rzekł mu przyjaźnie:

— Dzień dobry ci panie Leonie! Jak się miewasz? Jakżem rad, żeś się tu zjawił, pomożesz mi przeczekać do południa.

Młody człowiek był malarzem miniatur i zaraz po przybyciu do Londynu taką sobie zjednał sławę, tak wszedł w modę, że wszystkie Lady i Miss z najwyższej arystokracyi uważały za niezbędną konieczność posiadać miniaturę jego roboty. Arystokracya angielska nie zwykła żałować złota na swoje przyjemności, młody ów malarz miał piękne dochody, a przytem mimowolnie prawie dowiadywał się bardzo ciekawych rzeczy o familijnych stosunkach wielkiego świata. Doktor Jakób był bardzo ciekawy takich nowinek, a że malarz winien był wiele jego protekcyi, przez wdzięczność więc opowiadał mu to co wiedział, a co doktora mocno interesowało.

Po przywitaniu się koniecznem u Anglików uściśnieniem prawej ręki, doktor Jakób zapytał malarza, czy nie ma co nowego w swej tece? Malarz bowiem trzymał ją starannie pod pachą. Odpowiedział doktorowi, że to jest zbiór kopii zrobionych dawniej portretów, albowiem ma zwyczaj na pamiątkę je sobie zachowywać, a że właśnie teraz się przeprowadza, wolał sam ten drogocenny zbiór przenieść, niż go najętym ludziom powierzać.

— Pokaż! — rzekł doktor wyciągając rękę.

Malarz przycisnął sprężynkę, teka się otworzyła, rozłożył ją na stole i pokazał mniej więcej dwadzieścia portretów przedstawiających osoby znane w londyńskim świecie. Doktor za pierwszym rzutem oka zatrzymał się, jakby zdziwiony nad portretem jakiejś pani czy panny, bo rzeczywiście musiała to być bardzo piękna osoba, jeżeli jej malarz zbyt nie pochlebił.

— Czy znasz oryginał tego portretu? — zapytał doktor z pewnem wzruszeniem w głosie.

— A przecież ją malowałem, więc muszę ją znać — odpowiedział malarz. — Ale nie zakochaj się w niej kochany doktorze, bo ci to na nic nie zdałoby się, tembardziej, że na próżno pytałbyś się mnie o jej nazwisko, albowiem nie mógłbym ci go powiedzieć.

— Dla czego? — zapytał znowu doktor, coraz bardziej zmięszany.

— Dla dwudziestu czterech przyczyn — odpowiedział Leon wesoło — a najpierwsza jest ta, iż sam nie znam nazwiska tej piękności.

Doktor aż odetchnął swobodniej i dodał po chwili:

— Przecież ją malowałeś, i kiedyż to było?

— Przed dwoma laty.

— Ale powiedz mi jakim sposobem się dzieje, że nie wiesz jak się nazywa ta, którą malowałeś, i...

— Pozwól doktorze, że ci przerwę, bo widzę, że mnie potokiem pytań chcesz zalać; wolę więc odrazu całą rzecz opowiedzieć. Znam cię od dawna i wiem, że jak się rozciekawisz, to nie dajesz pokoju, aż się dowiesz czego chcesz. Otóż tak się stało: Dwa lata temu, w rannej godzinie zatrzymał się przed moim domem elegancki powóz z całkiem spuszczonemi storami. Młody człowiek z niego wysiadł i przyszedł do mnie z zapytaniem, czy mogę mu dzień cały poświęcić i czy podobnem jest za jednem posiedzeniem, choćby to nawet dzień cały miało trwać, portret zupełnie wykończyć. Gdy mu odpowiedziałem, że to jest rzeczą możliwą, zszedł na dół, i wkrótce potem wprowadził do mej pracowni jakąś kobietę starannie zawoalowaną.

— I to była ta pani, co jest na tym portrecie? — zapytał ciekawie doktor, wskazując na twarz o niebieskich oczach i czarnych włosach, która rzeczywiście najpiękniejszą była z całego zbioru.

— Właśnie — rzekł malarz — nad wieczorem skończyłem portret i piękna para zabrała go z sobą.

— A zkądże wziąłeś tę kopię?

— Jeżeli ci mam prawdę powiedzieć, to wielkie na mnie zrobiła wrażenie owa tajemniczość, a bardziej jeszcze nadzwyczajna piękność tej pani czy panny Irlandki... Tak, niezawodnie była to Irlandką; krucze włosy otaczały twarz jej doskonale owalną, cerę miała niesłychanej białości, prawie przezroczystą, przytem oczy niebieskie, nos orli nadzwyczaj pięknie zarysowany, a usteczka jak wiśnie dojrzałe. Trzeba ci wiedzieć, kochany doktorze, że Irlandka kiedy jest piękną, to już kompletnie. Typ irlandzki łączy w sobie wszystkie zalety piękności poetycznej Niemki, wyobraźnię Angielki, żywość charakteru i dowcip Francuzki, gorące serce Włoszki, oraz dumę i godność Hiszpanki..., jednem słowem, wszystko, co jest najpiękniejszego w brunetce i blondynce.

— Oho, panie malarzu!... widzę z twej mowy, że ta piękność Irlandki nie zatarcie się odbiła w twej wyobraźni i zrobiłeś kopię jej portretu z pamięci.

— Zgadłeś, kochany doktorze, tak jest.

— I nigdy już potem nic nie słyszałeś, nic nie dowiedziałeś się o żadnem z tych narzeczonych?

— Czyż oni byli narzeczeni? Ja nic o tem nie wiem, ale to być bardzo może. On obchodził się z nią z najwyszukańszą grzecznością, ze względami nie tyle kochanka, ile narzeczonego. Nazajutrz tego dnia pamiętnego sam byłem w mej pracowni, cały jeszcze przejęty wspomnieniem wczorajszego modelu, i zły sam na siebie, żem niepotrafił wpaść na najmniejszy ślad, aby dojść jej nazwiska, aż tu wchodzi do mnie służąca z prośbą o zwrot woreczka aksamitnego, zostawionego przez jej panią w mojej pracowni dnia poprzedniego.

— Zapytałeś się zapewne o nazwisko jej pani? — przerwał doktor z pewnym niepokojem.

— Bez wątpienia, dopytywałem się najusilniej, ale żadną miarą nie chciała mi powiedzieć. Nic nie pomogły ani moje prośby, ani nawet pieniądze, które jej ofiarowałem.

— Poczciwa dziewczyna!... Nic się więc nie dowiedziałeś? — zapytał doktor z widocznem zadowoleniem z niewiadomości swego przyjaciela.

— Poczekaj — odrzekł malarz. — Kiedy już miała wychodzić z woreczkiem swej pani i unieść z sobą ostatnią nadzieję dowiedzenia się czego, wszedł do mnie mój przyjaciel, poczynający malarz.

— Dzień dobry Maryo! — rzekł z pewną poufałością do służącej. — Co się z tobą dzieje? Już wieki cię nie widziałem.

— Zapomniałem ci powiedzieć doktorze, że Marya była przystojną dziewczyną. Powitała ona mego przyjaciela z równą poufałością.

Szepnąłem mu kilka słów do ucha. Odprowadził więc Maryą na dół, a po chwili wrócił i powiedział mi, nimem go zdążył zapytać.

— Ten pan wykradł tę pannę z domu gdzie przebywała. Dzisiaj ma ją zawieść na prowincyą i na pewien czas umieścić na pensyi, a jak sprawa ucichnie, to ma ją zaślubić.

— A jak się nazywają ten pan i ta pani?— zapytałem.

— Nie wiem — odpowiedział mój przyjaciel. — Marya zaklęła się na wszystko co najświętszego, że mi powiedziała wszystko, co wiedziała, ale że nie zna wcale nazwiska swego państwa.

Powiedziawszy mi to mój przyjaciel wyszedł, a ja pomimo, tak zdawało się, przyjaznych okoliczności, jakiemi były przyjście służącej po torebkę pozostawioną i poufałość odwiedzającego mnie przyjaciela z tąż służącą, nie dowiedziałem się czego chciałem. Myślę tylko czasem, iż jeżeli ów młody człowiek dotrzymał świętej obietnicy, to pewnie ożenił się ze swą pięknością już od roku.

— Tak jest, ożenił się — rzekł doktor spokojnie.

— Więc ich znasz doktorze? — zawołał malarz.

— Bardzo dobrze, mój bracie; ale się nigdy nie dowiesz ich nazwiska. Jest to tajemnica — dodał doktor głosem stanowczym.

W tej chwili aż skoczył na krześle, bo zegar bić zaczął — spojrzał nań i uspokoiwszy się nieco rzekł:

— Dopiero trzy kwandranse, jeszcze piętnaście minut muszę czekać.

Potem spojrzawszy badawczo na Leona dodał:

— Czy myślisz długo tu jeszcze pozostać?

— Nie mam w tej chwili żadnego ważnego interesu. Towarzystwo miłego przyjaciela i wyborne piwo, mogą mnie długo jeszcze zatrzymać.

— Tylko 15cie minut możemy z sobą pozostać.

Malarz zdawał się nie zwracać uwagi na szorstkość tych słów, zakrawających na rozkaz. Widać przywykł już był do niezwykłego sposobu mówienia i obejścia się doktora.

Sala, w której siedzieli, była na dole, wyłożona drzewem od podłogi aż do sześciu i pół stóp wysokości.

Ściana od ulicy także była wyłożona drzewem do tej samej wysokości, dalej zaś aż do sufitu ciągnęły się w całej jej długości okna ze szkła lustrzanego, tak, że wpuszczały światło do sali, ale przechodzący nie mogli zajrzeć do tawerny, dowiedzieć się, kto tam siedzi i zaspokoić niepotrzebnej ciekawości. Mimo tej wysokości jednak, pokazała się z zewnątrz głowa ludzka.

— O! ho! — zawołał doktor.

Podniósł się od stołu, jakby poruszony sprężyną i chciał pobiedz do drzwi, ale w tej samej chwili znowu usiadł i rzekł z westchnieniem:

— Nie, to nie to, co ja potrzebuję! to wcale nie olbrzym!

Istotnie była to prawda, bo obok głowy pokazała się zaraz ręka z gąbką. Był to po prostu służący stojący na drabinie i umywający okna zabrudzone od ulicy.

Malarz roześmiał się mimowolnie z pomyłki doktora, ale ten bynajmniej się nie obruszył jego szyderstwem i z najzimniejszą krwią powiedział gospodarzowi:

— Panie Janie, daj nam jeszcze kwartę piwa i kawałek sera.

W kilka minut doktor zerwał się znowu — wołając:

— O teraz, nie mylę się, mam olbrzyma— i wybiegł na ulicę.

Malarz pokiwał głową, jakby sobie mówił:— Cóż robić, mój przyjaciel doktor ma wyraźnie bzika w głowie.

W tejże chwili zwróciła jego uwagę wielka jakaś głowa, wyraźnie należąca do kogoś co z ulicy zaglądał do tawerny i chciwemi oczami pożerał chleb i ser stojący na stoliku doktora.

— W samej rzeczy — powiedział sobie malarz — to istotnie nie zwyczajny olbrzym, musi mieć więcej jak siedm stóp angielskich wysokości, kiedy może sięgnąć głową tak wysoko, jeżeli także nie stoi, jak ów służący obmywający okna na drabinie. Ale nie, głowa przenosi się od końca do końca okien, właściciel jej zatem nie może stać na drabinie; musi to być rzeczywiście olbrzym.

W tej chwili doktor wchodził do sali i ciągnął za sobą w tryumfie żebraka obdartego, nieco skulonego, bladego i wychudłego, jak księżyc w ostatniej kwadrze.

— Ten biedak musi być bardzo głodny! — rzekł malarz wzruszony widokiem jego — bo chwieje się na nogach i jestem pewny, że to pochodzi z głodu.

— A ja jestem pewny, że ma więcej jak siedm stóp angielskich wysokości! — wykrzyknął doktor radosnym głosem, i wydobywszy z kieszeni miarę, wlazł na krzesło i wtedy dopiero mógł sięgnąć do wierzchołka jego głowy.

— Panie Janie! — zawołał malarz na gospodarza — daj mu porcyę rostbeefu i kwartę piwa, bo padnie ze czczości.

— On miałby upaść z wysokości przeszło siedmiu stóp, bo ich ma niezawodnie; niechże Bóg broni! mogłyby mu się kości połamać, a mnie na nicby się nie zdał jego szkielet. Prędko jeść mu dawajcie. A ty przyjacielu siadaj sobie... Jak się nazywasz mój kochany? — zapytał doktor podając swe krzesło żebrakowi i sadowiąc go na niem.

— Edwardek — odpowiedział żebrak cichym głosem, a chociaż siedział, przenosił głową doktora stojącego.

— Edwardek? — wymówił doktor zdziwiony.

— Tak mnie dawniej nazywano... teraz nie mam wcale nazwiska... — odpowiedział biedak ledwo dosłyszanym głosem i spuścił głowę na ręce wychudłe do kości.

— Jakto?... nie masz nazwiska?...

— A tak! dawniej w domu nazywano mnie Edwardkiem, ale teraz od wielu już lat żadnego nie mam nazwiska.

Zamilkł i pogrążył się w jakiemś zamyśleniu.

Wtem gospodarz nadszedł a spostrzegłszy żebraka siedzącego, powiedział mu pogardliwym tonem:

— Eh! przyjacielu, przeskadzasz tym panom, te krzesła nie dla takich jak ty są zrobione, wynoś mi się zaraz na ulicę, to ci wyślę kawałek chleba, chociaż przecie otwartą jest droga do domu roboczego dla każdego z żebraków.

Biedny olbrzym słowa nie odpowiedział, tylko z ciężkością zabierał się wstawać.

(C. d. n).

POGADANKI O WŁOSZECH

Olgi hr. Komorowskiej.

V.

Nic dziś nie ma trwałego na świecie; wszystko gorączkowo żyć i poruszać się zdaje, niby w ustawicznej gonitwie niedosiężonego nigdy celu. Tłumy, bieżące z szybkością koni wyścigowych, na pierwszy rzut oka wyglądają bezładnie rozrzuconemi, i każda osobistość dążyć ma do zakreślonej przez siebie samą mety. Lecz nieład ten jest tylko pozornym. Wzniósłszy oczy, ujrzeć łatwo na szczycie stromej góry, pod którą zadyszana ludzkość często nie mając czasu otrzeć uznojonego czoła, pędzi tak upornie, stojącego złotego cielca, podług teraźniejszej mody papierowemi akcyami różnorodnych przedsiębiorstw, towarzystw udrapowanego, z powagą żyda bankiera od wczoraj wzbogaconego. Dawniej padano na twarz przed tym złotym okrutnym bożkiem, dziś i na to już czasu zbywa; zaledwie dobiegli, rzucają się nań łapczywie, rozrywają w szmaty owe modne ubranie, krzyczą i zajadle jedni na drugich pięści podnoszę; leją się potoki atramentu z ukrytych pod zakasanemi togami kałamarzy, pióra stalowe skaczą dooczu, błyszczą, migocą, oślepiają i sprowadzają zawrót głowy; olbrzymie arkusze drukowane spadają gradem na ziemię, tłocząc nieprzyjaźnych, a użyczając skrzydeł wybrańcom. Jęków bolu słabszych istot deptanych nogami, nie słychać, gwar giełdowy zagłusza wszystko, a ciała sponiewierane i duchy złamane w podobnej gonitwie już nie djabeł wlecze do piekieł, ale same wpadają do strasznej jakiejś czeluści, gdzie mieszkają zapomnienie i nicość. Sprężyna, ukryta misternie w zwojach papierów bożka, otwiera i zamyka tę połapkę, a kto raz w nią wpadnie, straconym się zwać może; bo w niej jak w Dantejskiem piekle, na ohydnych, wilgotnych nędzą murach, stoi napis: O wy! co do niej wchodzicie, zaniechajcie wszelkiej nadziei.

I odpływa z okrzykami tryumfu mętna fala ludzka; jeszcze szybciej niż wbiegła na tę wysokość, pędzona siłą niewidomą, nieubłaganą w dół, rozpierzcha się i w szalonym wirze niszczy tak ciężko, z poświęceniem wszystkiego, zdobyte bogactwa. Działa zieją ogniem, niosąc zniszczenie, upadają jedne zastępy po drugich, lecz inne znów następują, a kiedy zamilkną działa, dzikie owe gonitwy rozpoczynają się po świeżych jeszcze mogiłach.

Michał Anioł, Rubens, lub Kornelius, mo-

gliby na płótnie rzucić, w dwóch potężnych pociągnieniach pędzla, szkic do wielkiej alegoryi, postęp wyobrażającej; Wagner, wyspiewać tą straszliwą siłą geniuszu przerażenie lejącą; Byron, Alfieri i Słowacki, widzieli w snach proroczych takie łowy rozpasane, i coś z grozy tych słów pozostało na ich wyniosłych, tęsknie zadumanych czołach; my co żyjemy w tym elemencie, przywykliśmy doń; i jak salamandra w płomieniach nie czujemy gorączki co nas pożera, tylko wtenczas, kiedy trafem losu wyrwani z ogólnego ruchu, i rzuceni gdzieś w cichy, ukryty kącik ziemi, staniemy oko w oko z przyrodą. Wówczas to ziarno spoczywające w nas, nieznaną ręką zasiane, kiełkuje, wystrzela czasem nakształt rzadkiego kwiatu, lub miłą zielenią rozwesela; sami z naturą widzimy, jak występnie grzeszymy przeciw niej, i jak nieopatrznie oddalamy się od niej w pogoni za ułudą, co chcemy zwać rzeczywistością. Ów złoto papierowy bożek, co przed chwilą zakrywał nam niebiosa, karłowacieje w obec wysokości gór niebotycznych; targi nasze, używania, rozkosze, żądze, przycichają niby płacz roznamiętnionego dziecięcia pod pieściwem macierzyńskiej dłoni dotknięciem; stajemy się lepszymi, bardziej zwierzętami a mniej ludźmi.

Dalecy jesteśmy ganić, lub opierać się postępowi, zalecając pasterską pierwszych naszych ojców prostotę. Nic się nie powtarza w dziejach ludzkości, a dzień wczorajszy powrócić nie może. Lecz przesadne owo miotanie się, i zabiegi hałaśliwe o dobrobyt i pieniądz, zmieniają nas powoli w maszyny, a część nasza moralna cierpi nieco na tym ciągłym pośpiechu. I tu nam się nasuwa myśl, choć o Włoszech mówić będziemy, i podnosimy głos do ojczyzny, aby kiedyś jak powstanie wielka i piękna, dla ciała nie zapominała ducha, starając się równowagę utrzymać i nie dać się porwać szałowi. Rzecz to będzie trudna zaiste, bo jak uczeń, długą chorobą złożony, widzi się prześcignionym przez towarzyszy w naukach, wracając do zdrowia pragnie z zapałem nagrodzić czas stracony i dojść na równi z drugimi, zapomina, że wielkie natężenie może być zdrowiu szkodliwem; tak i nam się zdawać będzie iż wstyd pozostać z tyłu. Chwalebna rzecz emulacya, ale emulacya rozsądna.

Przeciwnie dziś rzecz się dzieje we Włoszech. Żądza robienia pieniędzy wszelkimi godziwymi lub nie sposobami, opanowuje powoli wszelkie klasy; żądza to źle jednak pojęta i pacząca w zarodzie cały ruch finansowy.

Pieniądz musi być w ciągłym obrocie, jest on bowiem sprężyną, bez której cały mechanizm świata zatrzymał by się zupełnie, on to daje bezwątpienia życie przemysłowi, handlowi, ale jako prawdziwa sprężyna umiejętnie musi być użytym. We włoskim zaś mechanizmie niektóre sprężyny są z prostego drutu, niektóre zardzewiałe, a inne znów ze złota, i dla tego równowaga jest niemożebną.

Przemysł, spoczywający w rękach cudzoziemskich towarzystw, bogaci raczej kraj, z którego pochodzą przedsiębiorcy, a nie ten, z którego ciągną produkta. Włosi nieopatrznie oddali tak ważną część ekonomiczną cudzoziemcom po większej części, byle tylko kilkunastu krajowców, wpływ mających, osobiście wzbogacić się mogło. Anglicy, Francuzi, Niemcy, trzymają więc w ręku znaczną część pieniędzy krajowych, wyrobnik cierpi na tem, poddać się bowiem widzi zmuszonym płacy niższej od tej, jakąby wymagali robotnicy tychże krajów, przygnębiony groźbą że jeżeli się nie zgodzi zawezwą innych; spuszcza głowę i tyranizować się pozwala, bo cóż ma robić.

Szemrania niższych klas, stają się coraz głośniejszemi, w miarę jak stojące na wyższych stanowiskach osoby bogacą się samolubnie. Włoch namiętny we wszystkiem, rozgorączkowuje się do zysku, wpada w paroksyzma istnego szału, w których bez względu żadnego po trupie brata lecieć by mógł, aby dosięgnąć owego złotego celu; raz go pochwyciwszy, zazdrośnie ukrywa swój skarb, i często żyje dla niego, nie przezeń. W ostatnich latach, wielu bardzo szczęśliwemi spekulacyami podniosło się z niskiego stanu raptownie, a zarobione pieniądze uśmiechnęło za granicą, lękając się wydać ile posiadają, aby nie płacić dochodowego podatku. Włoch biedny kocha swoją ojczyznę, wzbogacony lęka się jej i chętnie życie spędza gdzie indziej. Wielkie rodziny arystokratyczne florenckie, rzymskie, genueńskie, zubożały znacznie nowemi okolicznościami, i związkami z bogatemi cudzoziemcami lub dziećmi przemysłowców starają się łatać dziury książęcych i hrabskich koron, opłakując dawne rządy i pomyślność utraconą.

Ta nawet żądza pieniędzy jest naśladowaniem Francyi, choć się do tego nie przyznają, gdyż naśladowanie jest tu chorobą ogólną, a szczególniej Niemiec, z których chcą czerpać wszystko, wziąwszy za hasło: c'est du Nord maintenant que nous vient la lumière. Naśladują jednak źle, bo naśladownictwa zastosować nie umieją do potrzeb i charakterów własnych; co więc dobre owoce przynosi w kraju, gdzie wzięło początek, tu, przesadzone bezwzględnie na cieplejszą i bujniejszą ziemię, usycha lub szkodliwem się staje. W obecnej chwili sfery rządowe znajdują się w niemałym kłopocie, kogo i co naśladować, a wahanie się ich odczuwa kraj cały i żyje z dnia na dzień, w ciągłem oczekiwaniu, z której strony wiatr zawieje. W polityce wewnętrznej i zewnętrznej już dziś brak się czuć daje nieboszczyka króla, nie dla tego żeby był orłem, ale umiał jasno patrzeć na rzeczy i dać zawsze dobrą, zdrową radę ministrom. Młody chce panować, sił mu do tego nie staje; nowo sklecone ministeryum jest znowu bez koloru, bez programu dobrze obmyślonego, płynie z prądem, nie umiejąc sobie zdać sprawy, dokąd on go zaniesie. (C. d. d.)

EMIL ZOLA I JEGO UTWORY.

Zapewne czytelnicy Tygodnia" ciekawi będą niektórych szczegółów o życiu i pismach autora, którego najnowszą powieść redakcya zamierza podać w przekładzie. Imię Zoli pojawiło się w świecie literackim na początku obecnego dziesięciolecia i zdołało już obiec wielką część Europy, chociaż autora tego wcale nie można policzyć do talentów, które mają własność prędkiego zjednania sobie sławy i uznania nie tylko za granicą, ale nawet we własnej ojczyźnie, jak np. Bret-Harte lub dawniej Dickens. Przeciwnie ma się rzecz z Zolą Od samego wystąpienia swego w literaturze, zajął on stanowisko tak sprzeczne z panującymi gustami publiczności, tak odrębne, że do r. 1876 większa część literatów paryskich starała się go ignorować, odmawiając mu wszelkiego talentu pisarskiego, wszelkiego poczucia „dobrego tonu" i elegancyi. Dla autora — paryżanina, równa się to niemal wyrokowi śmierci. A przecież w r. 1876 już znane były takie mistrzowskie utwory Zoli, jak „Wnętrze Paryża," „Zdobycie Plassansu," „Błąd posła Monvetra," utwory, których naturalności, prawdzie i prostocie tematu nie dorównywała żadna ze współczesnych tu powieści francuskich. Prawda, Zoli nie można liczyć do tych geniuszów, które w jednem mgnieniu oka umieją przeniknąć najzawilsze i najskrytsze tajniki serca ludzkiego, które kilkoma rysami tworzą zdumiewające olbrzymie postacie, ożywiają zmarłych bohaterów, albo rysują szczytne ideały, do których ludzkość powinna dążyć; Zola jest „robotnik," jak sam siebie nazwał w swej krótkiej autobiografii. Pracowitość, regularne życie, i ogromna zdolność obserwacyi wyrobiły jego niepospolity talent i postawiły go na czele nowej, tak zwanej *naturalnej* szkoły powieściopisarzy francuskich, która obecnie liczy w swych szeregach nazdolniejszych ludzi, prawdziwych koryfeuszów współczesnej francuskiej literatury: Alfonsa Daudet'a, Edmunda Goncourta, poetów: Franciszka Coppée'go, Karola Bodelere'a, Richepine'a, w końcu uczonego historyka Taine'a i t. d. Szkoła ta postawiła sobie za cel, kierować się prostą, nie fałszowaną, codzienną prawdą i opierać się na głębokich studyach psychologicznych, fizycznych i etnograficznych, tak w powieści jak i poezyi. Powieść, podług Zoli, ma być protokołem z życia, ma być dokumentem historycznym o współczesnych ludziach. Poezya, to życie, to jego odźwierciedlenie, i w tem właśnie, a nie w fałszywem jego upiększeniu, nie w idealizacyi, leży cała jej wysoka, uszlachetniająca wartość moralna. Rozumie się samo przez się, że człowiek z takiemi zasadami występujący w literaturze, w której panowały takie gentlemeńskie talenciki, jak Aleks. Dumas'a syna, nie mógł się spodziewać prędkiego uznania, a przeciwnie, musiał liczyć na długą zaciętą walkę, zwłaszcza, jeżeli oprócz tego sama mowa, którą pisał, jak niebo od ziemi, odbiegała od utartych reguł stylistyki, a odznaczała się niezmierną, nieraz dziecięcą prostotą, która czasem aż chropowatą była. A przy tem Zola wcale nie był skłonny do ustępstw panującym gustom, ale z zapałem prowansalczyka rzucił się do walki z całym legionem krytyków. To było przyczyną, że tak długi czas imię jego wcale nie cieszyło się wielkiem uznaniem we Francyi, a w innych krajach mało go nawet znano. Dopiero rok 1877, rok wydania okrzyczanego *L'Assommoir,* stał się dla Zoli rokiem tryumfu. W tym bowiem roku podniesiono przeciw jego nowemu utworowi tyle krzyków, a z drugiej strony tyle sypano mu pochwał, że zwróciło to powszechną uwagę na Zolę. Dzięki tym sporom, powieść w ciągu roku doczekała się wielu wydań, i imię Zoli stało się głośnem po całej Europie, chociaż dotąd nie słyszeliśmy ani o jednem kompletnem tłómaczeniu „*L'Assommoir.*" Oto jest po krótce opowiedziana historya literackiej karyery Zoli, a teraz przejdźmy do opowiedzenia niektórych momentów z jego życia i do wyjaśnienia tej zasadniczej idei, na podstawie której osnuł on swoje ogromne dzieło „Historya rodziny Rougon-Macquart," część której stanowi też ostatnia jego powieść p. t. *Une page d'amour,* mająca się pojawić w przekładzie w naszem piśmie.

Emil Zola urodził się w r. 1840 w Paryżu z ojca Wenecyanina a matki Francuzki rodem z prowincyi Beaune. Ojciec jego był inżynierem i przeniósłszy się 1843 r. do Prowancyi, osiadł w miasteczku Aix i podjął się wielkiej kanalizacyjnej roboty, która ukończona została w sam rok jego śmierci 1847. Emil chodził do gimnazyum w Aix do 18go roku życia, poczem przeniósł się jako pensyoner do Paryża, gdzie skończył gimnazyum w liceum Saint-Louis. Od r. 1858 cierpiał wielki niedostatek i po skończeniu gimnazyum długi czas nie wiedział, dokąd się ma udać i wałęsał się, jak sam powiada, po ulicach Paryża. W r. 1862 wstąpił jako subjekt do księgarni Hachette, gdzie pozostawał do r. 1866.

Czytanie powieści Balzaka wzbudziło w nim chęć do pisania i już w 1864 wydał pierwszy tomik swoich utworów „Contes à Ninon", a następnego roku „Confession de Claude". Utwory te, chociaż wcale jeszcze nie dojrzałego pióra, zyskały niejakie uznanie we współczesnej paryskiej żurnalistyce. Ta okoliczność pomogła Zoli wyjść z zależnego stanowiska subjekta i zostać współpracownikiem gazety Villemessanta „L' Evenement". Tutaj wziął Zola poruczony sobie oddział bibliografii i krytyki, a jego śmiałe sądy zwróciły na niego uwagę publiczności. Mania iść na przekór panującym gustom już wtenczas w nim powstała. Osobliwie wystawa paryska 1866 przyczyniła się do jego rozgłosu. Wszyscy paryscy krytycy napadli na rewolucyjnego malarza Maneta, jeden tylko Zola ośmielił się nietylko bronić go, ale nawet uznać w nim najpierwszego artystę

Francyi. Ten śmiały, ba, zuchwały krok pokazał w nim przyszłego, energicznego bojownika. Jego dalsze powieści, „Le voeu d'une morte“, „Terése Raquin“ i „Madeleine Ferat“, to są niby wstępne studya do późniejszego dzieła. W nich autor powoli przyswajał sobie i wyrabiał stosownie do swego temperamentu, owe formy realnej powieści, które stworzył Balzak, a później rozwinął dalej Gustaw Flaubert. Wreszcie 1869 r. pojawił się pierwszy tom jego „Historyi Rougonów“, dzieła, nad którem autor dotychczas niezmordowanie pracuje.

Ostatnie to dzieło Zoli nosi tytuł: „Rougon-Macquart, historya naturalna i społeczna jednej rodziny za czasów drugiego cesarstwa“. Jest to ogromna galerya powieści, z których każda stanowi osobną całość, a które wszystkie razem mają się składać na całkowity obraz społeczeństwa francuskiego pod rządami Napoleona III, począwszy od zamachu stanu 2. grudnia 1852, do zdrady sedańskiej. Wszystkich powieści ma być 20. Bohaterami tej ogromnej tragedyi są członkowie dwóch pokrewnych rodzin, pochodzących od jednej matki, Adelaidy Fonque z miasta Plassanu w Prowancyi, a od dwóch ojców, Rougona i Macquarta. Rodziny te rozradzają się, wydają zwyż dwudziestu członków, którzy „na mocy współczesnych prądów przenikają we wszystkie warstwy społeczeństwa od najwyższych do najniższych. Już sam ten przegląd pokazuje, jakiej ogromnej pracy podjął się Zola, zabierając się przedstawiać ludzi najrozmaitszych stanów i stopni społecznych. Ale autor postawił sobie jeszcze dwa inne, o wiele trudniejsze zadania, które najzupełniej charakteryzują jego dwoiste pochodzenie: Włocha i Francuza. Chciał on zbadać fizyologiczne prawo dziedziczności w całym szeregu ludzi, na pozór różnych od siebie, ale przy bliższej obserwacyi noszących niezatarte cechy wspólnego pochodzenia. Zboczenie ustroju organizmu babki Adelaidy przechodzi w najrozmaitszych stopniach i formach na późniejszych członków rodziny, u jednych wykazuje się jako nieposkromiona żądza bogactwa, posunięta aż do manii, u drugich, jako żądza władzy i brutalnej siły (minister Eugeniusz Rougon), u jednych jako cicha, wiernie trawiąca organizm melancholia, u innych jako całkowity, wegetacyjny idyotyzm itd. Lecz nie dość na tem. Oprócz tego zadania, wymagającego obszernych studyów i niezmiernej obserwacyi w szczegółach, autor postanowił jeszcze przedstawić na tle dziejów tej rodziny historyczne losy Francyi w epoce drugiego cesarstwa, przedstawić 1) o ile jedna rodzina wpływa na losy całego kraju i 2) o ile historyczne, dokonane sprawy wpływają na codzienne życie najrozmaitszych warstw ludności. Podjąć się takiej mozolnej i skomplikowanej pracy mógł tylko człowiek takiego śmiałego i ekscentrycznego charakteru, jak Zola, i oto już ósmy tom jego pracy pojawił się w druku, a w każdym nowym tomie autor oprócz głównych celów całego dzieła ma jeszcze inne, specyalnie odnoszące się do samej powieści, i z niezrównaną sztuką umie wszystko to połączyć w taką mistrzowską całość, że widzisz przed sobą żywych ludzi, nie umiesz odróżnić historycznej prawdy od poetycznego wymysłu, bo całe obrazy, to jedna historyczna prawda. Najrozmaitsze stany i warstwy społeczeństwa przesuwają się przed nami z całem otoczeniem swego życia, ze swemi myślami i marzeniami, ze swą walką i ze swemi celami, nigdzie nie widać autora, nie słychać jego głosu, nie czuć bicia jego serca, nielitościwy nóż anatoma rozkrywa przed nami wszystkie tajniki duszy ludzkiej, fotograf daje tysiączne kopie z natury, psycholog robi mnóstwo obserwacyi; autor na pozór nie dobiera wcale postaci ani momentów do swoich obrazów, wszystko idzie zwyczajnym, codziennym trybem, a przecież ile w tem wszystkiem ognia, ile akcyi, ile kontrastów, ile głębokiego dramatyzmu! Wyliczę tu motywy dotychczasowych powieści Zoli, ażeby czytelnik mógł poznać, ile różnostronnych studyów musiał robić Zola do swych powieści, jaka olbrzymia jest moc jego obserwacyi, zwłaszcza, że wszyscy krytycy, nawet najgorsi przeciwnicy jego, przyznają mu jedno: wierność w opisach do najdrobniejszych szczegółów i prawdę psychologicznej analizy. Pierwszy tom *Karyera Rougonów*: Piotr Rougon, mały kapitalista w Plassanie, chce łowić rybę w mętnej wodzie i korzystając z rozruchów prowincyi, powstałych wskutek zamachu stanu 1852, dobija się intratnego stanowiska odbiorcy podatków. Drugi tom *Żądza:* Syn Piotra, Aristid Saccard, skompromitowawszy się „liberalizmem“ podczas przewrotu państwowego, udaje się do Paryża, aby przy pomocy brata swego Eugeniusza, który bardzo przysłużył się Napoleonowi III. podczas zamachu stanu, dobić się majątku. Przebudowywanie Paryża, które przedsięwziął Napoleon w pierwszych latach swego panowania z niezmiernym kosztem, daje mu sposobność urwać ogromne pieniądze i zbogacić się. Wątek powieści stanowi intryga miłośna jego drugiej żony Renée z jego synem z pierwszej żony, Maksymem, i przepyszny obraz rozwiązłości i moralnego przesycenia wyższego „towarzystwa“ owych czasów. Trzeci tom *Wnętrze Paryża:* życie zamożnych mieszczan paryskich (rzeźnika Quenu Gradelle), a na tle jego dziwnie sympatyczna i szlachetna postać Florentsa, nieszczęśliwego rewolucyonisty, o każdym kroku którego donoszą policyi jego najbliżsi krewni i znajomi. Autor chciał przedstawić, jak małomieszczanie, swem spokojnem lenistwem i brakiem poczucia obywatelskiego sami popierali sromotne rządy napoleońskie. Tom czwarty: *Zdobycie Plassanu:* życie prowincyonalnych bourgeois (rodziny Mouret), zakłócone zwolna i stopniowo aż do zupełnego rozstroju przez nowo przybyłego księdza opata Fanjas. Autor chciał przedstawić, jakiemi intrygami klerykalne stronnictwo zdobywało prowincyą dla Napoleona. Tom piąty *Błąd opata Mouret:* autor zostawia na boku pytania polityczne i w mistrzowskiem studyum analizuje zgubny wpływ celibatu na fizyczny i moralny ustrój człowieka, wpływ, który robi go bezduszną maszyną w ręku naczelników. Tę powieść można bezprzecznie policzyć do najświetniejszych utworów nowszego powieściopisarstwa. Tom szósty: *Jego ekscelencya Eugeniusz Rougon:* przedstawiony z zadziwiającą prawdą francuski rząd centralny, Napoleon, ciało ustawodawcze (le corps legislatif), ministrowie, dworskie spiski i intrygi, cały straszny obraz niezmiernej demoralizacyi i zgniliżny. Tom siódmy, *Maczuga:* życie robotników paryskich, opisane z zadziwiającą szczegółowością i prawdą, która nie wzdryga się przedstawić człowieka w najstraszniejszem, zwierzęcem upodleniu. Historya agonii i długich, okropnych mąk przedśmiertnych robotniczej rodziny, pomimo całej ekscentryczności i bezwzględnego cynizmu, jest jedną z najsumienniejszych i najwykończeńszych prac Zoli. Ósmy tom, który rozpoczynamy w przyszłym numerze drukować, nosi tytuł: *Une page d'amour.*

Jeszcze kilka słów o tem, jakiego przyjęcia doznały utwory Zoli w naszej literaturze. Oprócz J. I. Kraszewskiego, który kilku trafnemi słowami („Tygodnik ilustrowany“ 1878) ocenił talent i zasługi Zoli, wszyscy prawie krytycy, a osobliwie lwowscy, krzyczą bezustannie o niemoralności nagiej, cynicznej nawet prawdzie obrazów Zoli. Oburza ich nawet rzeczywistość, woleliby kłamstwo idealne. Moralniejszą jest jednak rzeczą badać powody upadku, szukać iskry boskiego ognia, uczucia ludzkiego, nawet w istotach, które najniżej upadły, aniżeli z faryzeuszowskiem przekonaniem o swojej cnocie odwracać się z pogardą od wszystkiego, co uznaliśmy już z góry za potępione i nikczemne.

J. F.

TEATR.

(„Ultimo,“ komedya w 5 aktach przez Juliusza Mosera.)

Jeżeli w żywości, lekkości i gracyi żaden naród nie prześcignął Francuzów, to znów żaden naród pod tym względem nie pozostał tak daleko w tyle za Francuzami, jak najbliżsi ich sąsiedzi Niemcy. Niemiecka refleksya, nieobrotna i ciężka jak działo Kruppa, pogardliwie zwykle stara się spoglądać na improwizowaną zwinność i elegancyą francuską, której sprostać nie ma najmniejszej nadziei. A jednak i Niemcy, kiedy chcą bawić i rozrywać swoich ziomków, naśladują Francuzów.

Naśladownictwo to najczęściej jest bardzo niefortunne i przypomina pieszczotę owego osiołka z bajki, co to chciał naśladować ulubionego pieska pańskiego. Zdarzają się jednak i między Niemcami ludzie, co umieją w większym lub mniejszym stopniu przejąć żywość i lekkość francuską. Należy do nich Heine, o którym można powiedzieć, że tyleż był Francuzem, co Niemcem lub Żydem, należy do nich najgłośniejszy dziś krytyk i fejletonista niemiecki Lindau, należy do nich potrosze i autor „Ultima.“

Moser chciał napisać sztukę dla śmiechu, tak jak to Francuzi, i to najczęściej składkowym sposobem, umieją wybornie pisać, nie troszcząc się o prawdopodobieństwo akcyi, a mając jedyne staranie, aby sytuacye były jak najkomiczniejsze, wiązania i zwroty jak najzręczniejsze. Pościągał też mnóstwo sytuacyi komicznych, i to bardzo komicznych, i pod tym względem pomysłowości jego potrzeba oddać zasłużoną pochwałę, ale gdy trzeba było powiązać te sytuacye, zrobić z nich cacko dla dorosłych dzieci, to zabrakło mu zręczności francuskiej, i nie w jednem miejscu niezgrabny szew wylazł, gdzie powinno było być delikatne stebnowanie. Niezręczność ta szczególnie przy końcu sztuki daje się uczuwać.

Opowiedzieć treść sztuki w krótkich słowach bardzo trudno, ponieważ brak jej jednego jakiegoś głównego motywu, około którego grupowałyby się wszystkie inne podrzędne. Opowiem przynajmniej to, co dało powód autorowi do dania swojej sztuce nazwy: „Ultimo.“

W jakiemś giełdowem mieście niemieckiem jest dwóch Schleglów, dalekich krewnych. Jeden z nich trudni się na wielką skalę handlem papierami na giełdzie i ma ztąd wielkie dochody. Jest to człowiek szczery, otwarty, spokojny, lubi dobre towarzystwo przy butelce szampańskiego. Drugi Schlegel jest uczonym profesorem, niesłychanie zarozumiałym i niesłychanie gwałtownym i gniewliwym. Profesor, który często będąc w biedzie pożycza u krewnego, z pogardą zwykle wyraża się o spekulantach giełdowych i utrzymuje, że gdyby on tylko zechciał zniżyć się do gry giełdowej, to by w przeciągu miesiąca zrobił fortunę. Lebrecht Schlegel, kupiec giełdowy, rozgniewany do żywego ciągłemi przechwałkami profesora, ofiarowuje mu na grę giełdową kredyt w swoim banku na 30.000 talarów i obiecuje czekać cierpliwie do ostatniego dnia miesiąca, to jest do ultimo, kiedy się wszystkie rachunki kończą i podają. Profesor przyjmuje wyzwanie i zgrywa się naturalnie na giełdzie; przychodzi ultimo i Lebrecht Schlegel ma zupełną satysfakcyą, dowiódłszy profesorowi, że i do handlu papierami potrzeba mieć szczególne uzdolnienie.

Gdyby cała sztuka osnuta była na tym tylko temacie, byłby to utwór strasznie nudny i niesmaczny. Ale walka profesora z giełdzistą, nadająca nazwę sztuce, stanowi tu tylko ramy, w które autor wprowadził mnóstwo osób, scen, sytuacyi, nie powiązanych ściśle z powyższym tematem. Te to sceny i osoby, pełne życia i komizmu, nadają wartość sztuce. Jest tu kawaler von Haas, gogo niemiecki, starający się o rękę córki Lebrechta, żwawego dziewczęcia, które tylko co powróciło z pęsyi i w drodze z dworca kolei potrafiło już zrobić bardzo przyjemną znajomość z pewnym młodzieńcem; jest tu i ten młodzieniec, Jerzy Richter, bursz w najlepszem znaczeniu tego słowa, który pojechawszy do Ameryki dla zrobienia karyery, okradziony został na samym wstępie i musiał potem tłuc kamienie i sadzić wiśnie na ziemi obiecanej, a choć tak niezbyt świetnie zakończył swoją karyerę amerykańską, powrócił przecież do kraju z dobrą myślą i najsilniejszą ochotą do wszelkiej pracy — z wyjątkiem tłuczenia kamieni i sadzenia wiśni. Jest tu jeszcze przyjaciel jego, świeżo upieczony doktor medycyny, dobry chłop, ale nie mający szczęścia do pacyentów, jest tu nareszcie córka profesora, na zabój kochająca się z doktorem, żony dwóch Schleglów etc. etc. Charakterystyka prawie wszystkich tych osób jest dobra. Sztuka kończy się małżeństwem dwóch par zakochanych, ale jakże ciężko i niezgrabnie autor łączy w końcu sprawę ultima ze sprawą dwóch romansów, aby to razem rozwiązać!

Bądź co bądź uśmiać się i ubawić można wybornie, tem lepiej, że autor chcąc dopiąć tego celu, nie brał do swego humorystycznego sosu tak zwanych „tłustych rzeczy.“ I owszem, we wszystkich prawie komicznych sytuacyach panuje ton jak najszlachetniejszy. Co zaś najwięcej może zachęcać do oglądania tej sztuki na deskach naszego teatru to wyśmienita gra artystów, którym swoboda, na jaką puszczeni zostali przez czas wakacyjny, zdaje się dodawać szczególnej werwy. W głównych rolach występowali pp. Ładnowski (von Haas), Lubicz (Richter), Zamojski (profesor), Zboiński (giełdzista) i Zieliński (doktor), i panie: Ładnowska, German i Bielińska. Pan Ładnowski tak grał rolę Goga, jak gdyby całe życie na podobnych rolach strawił; i gra pana Lubicza,

rosnącego w łaskach u publiczności, odznaczała się wielką naturalnością. Nie był tak szczęśliwym pan Zieliński, który rolę swoją widocznie dobrze obmyślał, ale nie dość zręcznie wykonał. Bardzo miłem dziewczątkiem (córka Lebrechta) była pani Ładnowska, a już o grze pp. Zamojskiego i Zboińskiego, którzy siedzieli na swoich koniach, to chyba nie potrzebuję pisać, że była wyśmienitą. *J. T.*

Tydzień lwowski.

Lwów dnia 27. czerwca.

Procesyę Bożego Ciała odbyliśmy przy bardzo pięknej pogodzie w asystencyi c. k. piechoty wśród salwy karabinowej. Nie tak podobno wypadła uroczystość owa w Kaliszu, gdzie jak donoszą telegramy z Poznania, skończyło się na zrabowaniu synagogi i sklepów żydowskich, tudzież na salwach także cesarskiej, ale moskiewskiej piechoty ostremi ładunkami, od których trzynaście osób zakończyło doczesny swój żywot. Szczegółów nie mamy jeszcze o tym wypadku, lecz wiadomo, że wywołały je manifestacye żydów i protestantów, w obronie których przeciw Polakom rząd cesarsko-rossyjski kategorycznie występuje.

Właściwie powinienbym z wysokości Wysokiego Zamku rozpocząć moje kronikarskie sprawozdanie z ubiegłego tygodnia, bo na jego kończynach w zeszłą niedzielę krystalizowało się całe brukowe życie naszego grodu. Rozbitki teatru lwowskiego, jako Stowarzyszenie wzajemnej pomocy artystów, urządziły festyn, ale to festyn dotąd nie bywały we Lwowie. Olimpijskie igrzyska po trampolinie do srebrnego zegarka, koń żywy za czterdzieści dwa reńskie, uwieńczony kwiatami, prowadzony na złotej uździenicy przez teatralnego krakusa, pochód z pochodniami na kopiec Unii, trzy orkiestry odpowiadające trzem rodzajom gramatycznym, wszystko to nadzwyczaj drastycznie oddziałało na publiczność lwowską, sprowadziwszy ją w liczbie pięciu tysięcy dla ozdoby festynu.

Nazwę trzech rodzajów orkiestry, usprawiedliwiam w ten sposób: wojskową muzykę, z powodu marsowatej postawy jej członków i mundurów wojskowego kroju niepodobna inaczej nazwać jak męzką. Druga była prawdziwie żeńska, czyli raczej damska, o czem słuchająca i patrząca publiczność mogła się naocznie przekonać. A gdy idzie o trzecią młodocianego wieku Harmonię, to tę jako dotychczas nie mającą żadnego wybitnego charakteru tak pod względem wykonywania swoich *kawałków*, jakoteż pod względem kozacko-żandarmskiego uniformu i zdezelowanych instrumentów, niepodobna inaczej nazwać jak nijaką. Ostatnią okoliczność co do lichej dobroci instrumentów Harmonii skonstatowało i walne zgromadzenie Stowarzyszenia, rozpisując dobrowolną składkę na sprawienie nowych, co poświadczy i sam czcigodny prezes, któremu na tak rozstrojonych instrumentach wyprawiono serenadę...

Tymczasem c. k. policya jest nadzwyczaj zadowolona z niedzielnego festynu, daleko może więcej niż artyści sceny lwowskiej, którym się coś około tysiąca guldenów na czysto okroiło. Wystawcie sobie, że w poniedziałek dziesięć tysięcy rąk, i to najenergiczniejszych rąk we Lwowie zostało od zbyt energicznego wybijania oklasków zdemontowanych tak, że z tego powodu przez cały tydzień spokojność publiczna zakłóconą nie będzie. Gdyby mój głos kronikarski miał choć doradczą doniosłość w Stańczykowskiem kole rycerzy z pod Wawelu, to zamiast staczania atramentowych walk z Narodówką o podpisywanie memoryału do kongresu, radziłbym wysłać do nas wszystkie cywilne i wojenne orkiestry z Krakowa. Niechby przygrywali Lwowianom po całych dniach, a zjedliby licha narodowcy, jeżeliby znaleźli sto rąk wolnych od opuchnięcia, w którychby utrzymało się pióro dla położenia swojego nazwiska pod zredagować się mającym memoryałem. A tak memoryał pójdzie niezawodnie, bo już na przedzie czaty wysunął się list otwarty do hr. Szuwałowa, który „Gazeta Narodowa“ z zaniedbaną trochę korektą w swych szpaltach umieściła. Daj Boże, aby ten list doszedł rąk szanownego członka kongresu w porę właściwą, a mianowicie kiedy zabraknie poziomek w Berlinie, bo jak donosi pewien specyalny korespondent Gazety — poziomki stanowczo decydują o ustępstwach moskiewskich na kongresie.

Mieliśmy jeden wiec żydowski w sali sejmowej przez trzy dni, który trzeba przyznać, odbył się w bardzo parlamentarny sposób... Złośliwi zapewniali, że wiec ten zajmować się ma czynnościami przygotowawczemi do emigracyi żydowskiej na swoje śmiecie, jednak pokazało się, że to wszystko nieprawda, i że szanowni Polacy wyznania Mojżeszowego nie chcą tej krzywdy robić szlachcie polskiej, któraby się zatęskniła za niemi. Zostaną przeto mimo obrad w parlamencie węgierskim prowadzić się mających o odbudowaniu królestwa izraelickiego, albowiem zdecydowano założyć szkołę postępowych rabinów w Galicyi, którzyby ciemną rzeszę żydowską na dobrych Polaków przerobili.... Przypuśćmy, że to jest prawda, i miejmy nadzieję, że wskutek tej edukacyi postępowo-liberalnej stopa pobieranego procentu na przyszłość od rodaków, zniży się z 5-ciu do czterech na miesiąc, — zawsze to postęp!

Drugi wiec pod laską księdza Stojałowskiego ma się odbyć w Krakowie na złość Stańczykom, którym się odcina jak może kapelusz Jego świątobliwości Leona XIII. Ksiądz Stojałowski ma wielką chęć zająć pod uprawę swoją tak niewdzięczną, a mało dotąd poruszoną niwę włościan naszych. W tym celu zbiera ich na pogadanki naukowo-ekonomiczne i na asenterunek zdolnych do orania indywiduów. Gospodarzom naszym tylko w to graj, do dni jarmarkowego i odpustowego odpoczynku przybędzie jeszcze rekreacya wiecowa. Nasz trybun ludowy pod tym względem jest niezmordowany i śmiało podnosi rękawicę rzuconą mu z ulicy św. Scholastyki w Krakowie, nazwawszy redakcyę „Czasu“ liberałami z Zachodu... Doprawdy, trzeba myślić że niedługo Wisła zwróci swe wody od Warszawy ku Krakowu lub sam Bismark z ministrem Falkiem nawrócą się na katolików, jeżeli ksiądz Stojałowski już dojrzał w Stańczykowskiej klice herezyą... Otwieramy oczy, nadstawiamy uszy i chowamy naftę, żeby jej partya krakowska jak niegdyś Komuna paryzka nie użyła na spalenie Wawelu... Wszystko to być może, wszak w tej materyi nowy prałat Ojca św. musi być kompetentnym.

Gorsza klęska od samej Komuny grozi naszemu miastu; bułgarska moda obcinania uszu i kaleczenia nosów zaczyna się zagnieżdżać we Lwowie, klęska mogąca sprowadzić interwencyę europejską. W zeszłym tygodniu w jednej z tutejszych cukierni zaszła tego rodzaju operacya na jednym z usługujących tam chłopców, operacya zasadzająca się na przecięciu mu prętem dolnej wargi, która pomiędzy gośćmi i uliczną publicznością sprowadziła nie mało senzacyi. Tego rodzaju nieludzkie postępowanie z dziećmi oddanemi panom cukiernikom na edukacyę, którego już niejednokrotnie byliśmy świadkami, powinno zwrócić uwagę rodziców, że nie zawsze panuje tam słodka nauka, gdzie się same tylko słodycze wyrabiają. Zaś panom właścicielom zakładów i ich poważniejszej służbie nie radzimy nadużywać cierpliwości publicznej, jakkolwiek pastwienie się nad dziećmi, nie leży w attrybucyach Towarzystwa Ochrony zwierząt. Mogą się znaleźć obrońcy tych biednych istot po za stowarzyszonymi, z gotowością wymierzenia komu wypadnie doraźnej sprawiedliwości.

* * *

Szanowny nasz kolega *Ruch literacki* gwałtownie napada na redakcyą *Tygodnia* i udowadnia cytatami, że pisaliśmy o odczytach Spasowicza wprzódy nim takowe wydrukowane nadeszły do Lwowa. Co i kiedy pisaliśmy, to czytelnicy nasi wiedzą. Gdybyśmy rzeczywiście nawet podali sprawozdanie z odczytów wcześniej niż takowe wyszły z druku, nie widzimy coby to w tem mogło być złego? I z naszej strony *Ruchowi literackiemu* i innym pismom lwowskim nie z tego robimy główny zarzut, że pisały za wcześnie, tylko że pisały na domysł, że podały fałszywe daty, że jedną z najznakomitszych prac naukowo-literackich, jakich literatura nasza nie wiele liczy, że pracę tę, mającą głębokie społeczne znaczenie, potępiły bez powodu, że prelegenta obrzuciły najfałszywszymi zarzutami, i że po odczytaniu tych prelekcyi nie miały tyle cywilnej odwagi, aby przyznać się do błędu i sprostować fałsz, jak to uczyniły pisma warszawskie. Oto obwiniamy dziennikarstwo lwowskie. Wyrażenie, że „sumienie i prosta uczciwość“ do tego zmusićby powinno, które tyle krwi napsuło *Ruchowi literackiemu* nie jest naszem, tylko zostało użytem przez p. Jenikego redaktora *Tygodnika illustrowanego* w głośnem jego odwołaniu pierwszego mylnego sądu o odczytach Spasowicza.

Za często może wracamy do tej sprawy, ale jest to sprawa nadzwyczaj ważna, dowodzi bowiem wielkiego upadku prasy peryodycznej naszej. Nieznajomość ludzi, tak wybitne w społeczeństwie zajmujących stanowisko jak Spasowicz, zupełna nieświadomość, co się dzieje za kordonem, lekkomyślne rzucanie się na ludzi zasługi i pracy wytrwałej, ciskanie gołosłownymi zarzutami, nie przypiął nie przyłatał jak panslawista, komunista, ateista i tp. bez rozumienia znaczenia tych nazw i brak poczucia własnej godności, aby wyrządziwszy komu krzywdę, choć kilku słowy sprostowania dać mu zadosyć uczynienie, nakoniec lekceważenie czytelników swoich: to są zarzuty, które czynimy dziennikarstwu, z tem niestety smutnem przeświadczeniem, że będą grochem rzuconym na ścianę, że nawet odczytane nie będą, gdyż dziennikarze u nas nie zadaje sobie tyle pracy, aby wiedzieć co się u nas pisze, dobrze jeżeli odczyta to co sam napisze, najczęściej i tego nie czyta.

Ruch literacki powiedział, „że Spasowicz znieważył przeszłość Polski *)“, pytamy w czem i gdzie? Czy w zarzucie zrobionym Polowi, że

---

*) *Ruch literacki* Nr. 14. Artykuł wstępny.

powinien był brać podnioślejsze temata, których przeszłość nasza dostarcza podostatkiem, a nie podnosić i apoteozować ujemnych stron społeczeństwa, czy to zniewaga przeszłości? Macie teraz odczyty, cytujcie z nich dowody na poparcie waszych zarzutów, że Spasowicz szerzył panslawizm, nihilizm i tp. jeżeli was sprawa publiczna obchodzi, jeżeli nie prywatny interes macie tylko na względzie.

Ruch literacki chciałby się zasłonić i zrzuca odpowiedzialność na swego korespondenta, który ma być „najstarszą powagą literacką", ależ od czego jest redakcya? i co tu może znaczyć powaga? Już to co do tych powag *Ruchu literackiego*, to czytamy w każdym tygodniu w *Gazecie Narodowej* w artykułach przez głównego redaktora *Ruchu literackiego* pisanych, że wszyscy poeci, powieściopisarze i wogóle współpracownicy *Ruchu literackiego* są najznakomitszymi, genialnymi, najuczeńszymi, a samo to pismo jest najlepszem (oczywiście redaktor o swojem pismie może mieć to przekonanie), ale tych wielkości naukowych i literackich jakoś zkądinąd nikt nie zna, chyba z ustępów cytowanych w „Szczutku" i przez innych humorystów lwowskich.

Wiadomości z kraju i ze świata.

JUBILEUSZ J. I. KRASZEWSKIEGO.

*** Na medal w dalszym ciągu przedpłacili po 3 złr.

69. Kazimierz Kamieński z Tyszkowiec.
70. Kłodzińska z Parchacza.
71. Ks Tytus Zawirski z Mielnicy.
72. Walenty Milewski z Kołomyi.

73—75. Karol Wild.

76. Władysław Wszelaczyński.
77. Antoni Broniewski.
78. Hr. Róża Lanckorońska.
79. Celina Dominikowska.
80. Richter.
81. Dr. Antoni Małecki.
82. Emma Stokowska.
83. Edmund Milikowski.
84. Dr. Juliusz Popiel.
85. Ks. Feliks Puchalik.
86. Jan Olszański.
87. Dr. Euzebiusz Czerkawski.

88 89. J. K. Żupański Poznań.

90. Bentkowski Poznań.
91. Cegielski Poznań.
92. Hirschlerowa.
93. Dr. Roman Bartmański.

94 97. Seyfarth i Czajkowski.

98. Szymon Krawczykiewicz.
99. Dr. Józef Skałkowski.
100. Jul. Bykowski.
101. Adolf Czajkowski.
102. Pani Pieruccini.
103. Napoleon Sarnecki.
104. Marya Chent.
105. Hr. Stan. Badeni.
106. Hr. Marya Bukowska.
107. Henryka z hr. Bukowskich Zakliczyna.
108. Jul. Starzyński.
109. Feliks Orzechowski.
110. Jan Janowski
111. Kaźm. Łączyński.
112. Władysława Anczycówna.
113. Władysław Schmidt.
114. Władysław Gubrynowicz.
115. Ludwik Gubrynowicz.
116. Wincenty Schmidt.
117. Karol Rudolfi.
118. Dr. Karol Smutny.

Literatura, sztuka i nauka.

*** *Dziejów powszechnych Szlossera* opuścił już prasę tom 22-gi, w którym dzieje powszechne doprowadzonemi zostały do r. 1875. Dla braku miejsca sprawozdanie wydawcy zamieścimy w przyszłym numerze.

*** *Muzeum narodowe* w Krakowie. Projekt T. Ziemięckiego. Kraków 1878.

*** Michał Girdwojń, autor wybornej „monografii pszczoły," wystąpił z nową pracą, która zwróci na siebie niezawodnie uwagę osób starających się o podniesienie rybactwa krajowego. Praca, o której mówimy, jest to zeszyt mający tytuł: „Nieco o przyrodzie łososia pospolitego i sposobach jego uchowania w Anglii."

*** Panna Marya Siemiradzka, siostra znakomitego malarza, przełożyła na język polski 2 tomowe dzieło podróżnika włoskiego Edmunda de Amicis p. t. „Konstantynopol." Przekład ten będzie wychodził jako dodatek przy „Wędrowcu."

*** „Ziemia i jej mieszkańcy," użyteczne dzieło Stanisława Strojnowskiego, znanego geografa i autora licznych prac na tem polu, znów jest pod prasą drukarską, albowiem pan Hösick wydawca tomu pierwszego, przystąpił niedawno do odbijania tomu drugiego, który w przyszłym kwartale ma się ukazać na półkach księgarskich, zwiększając naukową literaturę naszej kształcącej się młodzieży.

*** Jedna z kobiet pracujących na polu pedagogicznem, napisała obszerną powieść p. t „Sieroce dole," której sympatyczny przedmiot sam tytuł maluje. Autorka ukryła się pod pseudonimem „Zuzuli."

*** „Homo sum!" powieść Jerzego Ebersa, znanego egiptologa, została przetłumaczoną na język polski przez p. Ludwikę Kaczyńską i ukaże się zapewne w jednem z pism naszych. Mamy już przyswojoną z Ebersa powieść „Córka króla egipskiego." Po Flaubercie nikt tak jak Ebers nie malował w powieści świata starożytnego.

*** „Gospodyni wiejska" umieściła w ostatnim Nrze bardzo ciekawy dla gospodyń naszych artykuł p. t.: „Gospodarstwo mleczne — Spieniężanie mleka produkcyą masła." Autor wykazuje wielką korzyść tej produkcyi.

*** Pan Józef Czerwiński przysłużył się dobrze mularzom i budowniczym, opracowując systematycznie i na podstawie specyalnych źródeł „Technikę materyałów budowlanych," której I-szy zeszyt, zawierający „Kamienie naturalne," w tych dniach opuścił prasę. Spotykamy tu najpierw ogólną charakterystykę kamieni naturalnych, potem zaś dokładny opis głównych typów kamieni, jak wapienne, gliniaste, gipsowe, krzemionkowe i t. p. Za szczególną zaletę tego dziełka poczytujemy staranny wykaz miejscowości w naszym kraju, które słyną z różnych kamieni budowlanych i ornamentowych. W końcu broszury znajdujemy krótki ustęp o wytrzymałości kamieni i parę tablic.

*** Nowy obraz Matejki od wczoraj pomieszczony został na wystawie obrazów w Ratuszu warszawskim. Przedstawia on Jana III. Sobieskiego, wybierającego się na odsiecz Wiedniowi przeciwko Turkom. Rzecz dzieje się w kaplicy Matki Boskiej w Częstochowie, na pierwszym planie Sobieski z podniesionym w górę mieczem schodzi przed ołtarz, po lewej stronie znajdują się poseł austryacki i nuncyusz papiezki, po prawej rodzina królewska, obraz robi wielkie wrażenie.

*** Wydział towarzystwa rolniczego dla księstwa cieszyńskiego urządza w niedzielę po dniu św. ap. Piotra i Pawła, tj. 30 bm. wycieczkę rolniczą do Końskiej. Zebranie się gości nastąpi w gospodzie kończczyńskiej o 1 godzinie, potem wysłuchanie odczytów w szkole tamtejszej ew., następnie zwiedzenie gospodarstw, w końcu poufne pogadanki w domu Buzka Jerzego. Wydział wspomniony usilnie zaprasza tak członków Towarzystwa rolniczego dla Księstwa Cieszyńskiego, jakoteż niezłonków, aby ochotnie i licznie przybyli.

*** *Wiec ludowy*, zapowiedziany na dniu 27 i 28 w Krakowie przez ks. Stojałowskiego, jest drugim z porządku w Galicyi. Pierwszy miał miejsce w r. z. we Lwowie. O jakże to ciężko idzie u nas gdy trzeba coś zrobić na korzyść ludu!

*** *Konkurs dramatyczny* ponownie rozpisanym został w Poznaniu. Najwyższa nagroda wynosi 900 marek za sztukę *bezwzględnie* dobrą. Sztuki na konkurs mają być nadesłane przed 1. październikiem 1879 r.

*** „Dziennik Polski" drukuje nową nowellę Jana Jama pt. *Wędrówki Pana Macieja*. Obrazki z życia wiejskiego na Wołyniu. Dowiadujemy się, iż redakcya „Nowin" warszawskich nabyła także nowellę tegoż autora.

*** Pani Eliza Orzeszkowa napisała nową powieść pt *Sielanka nieróżowa*, osnuta na tle życia wiejskiego. Jest to powieść jak wiele innych tej znakomitej autorki, napisana z głęboką znajomością życia i stosunków społecznych. Powieść tę autorka przeznaczyła do „Tygodnia" i będziemy ją drukowali zaraz po ukończeniu w druku będących.

*** „Kuryer Warszawski" podaje za naszemi dziennikami, że zostało zniesione cło od książek sprowadzanych z Warszawy do Galicyi. Niestety! nikomu się o tem ani śniło.

*** Potęga zamiłowania. Niezwyczajny w dziejach uniwersytetów wypadek zdarzył się w tych czasach w Dorpacie. Pięćdziesiątczteroletni p. Waleryan Podwysocki, kandydat praw i radzca stanu, odbył na wszechnicy tamtejszej rozprawę w celu uzyskania stopnia doktora medycyny. Pan Podwysocki urodził się w r. 1824 w guberni Kijowskiej. W r. 1840 wstąpił do uniwersytetu kijowskiego, gdzie na wydziale prawnym otrzymał dwa medale srebrne, a po ukończeniu nauk w r. 1844 uzyskał stopień kandydata. Odtąd był urzędnikiem w kancelaryi kijowskiego okręgu naukowego, członkiem komitetu dla spraw włościańskich w Czernichowie, deputatem szlachty czernichowskiej do komisyi włościańskiej w Petersburgu itd. przyczem jednak oddawał się studyom przyrodniczym, aż w roku 1872, licząc lat 48, wstąpił w Dorpacie na wydział lekarski, na którym przed dwoma laty nagrodzony został złotym medalem. Ukończywszy w roku bieżącym nauki i złożywszy rozprawę na temat „Badania anatomiczne gruczołów językowych u człowieka i zwierząt ssących," p. Podwysocki otrzymał stopień doktora medycyny.

*** Prasa peryodyczna w Królestwie Polskiem coraz więcej się rozszerza, pisma nowe powstają, liczba czytelników wzrasta. W samej Warszawie pisma codzienne: *Gazeta Polska*, *Gazeta Warszawska*, *Wiek*, *Echo*, *Kuryer Warszawski*, *Kuryer codzienny* liczą razem około 30,000 prenumeratorów. Do powyższych od 1. lipca przybywa nowe pismo codzienne *Nowiny*, które dotąd wychodziły tylko w dnie świąteczne. Nowe to wydawnictwo witamy tem sympatyczniej, że będzie to organ postępowy i da impuls do rozbudzenia życia, które w ostatnich latach znacznie przygasło.

W prospekcie *Nowiny* dają następujące wyznanie wiary:

„Pragniemy być przedstawicielami dążności *postępowych* w prawdziwem znaczeniu tego słowa. Pragniemy popierać kierunek postępowy w nauce i literaturze, poważne rozpatrywanie spraw w dziennikarstwie, rozwój wszystkich czynników społecznych w życiu.

„Wyniki badań naukowych we wszystkich gałęziach umiejętności są dla nas drogoskazami postępowania. *Nie ma dla nas kwestyi drażliwych i nie podpadających rozbiorowi*, wszystkie owszem zagadnienia, dotyczące życia i wiedzy, rozpatrywać będziemy przy pochodni krytyki niezależnej, wolnej od wszelkich przesądów i stronniczej niechęci. Unikanie dyskusyi w pewnych kwestyach jest furtką, przez którą wciska się niedołęstwo lub zła wola. Zapobiedz temu można jedynie przez wyprowadzanie na jaśnię wszystkich bez wyjątku spraw obchodzących społeczeństwo, pragniemy więc jak najwięcej podać sposobności do wszechstronnego rozpatrzenia się w naszych interesach społecznych, ekonomicznych, moralnych, religijnych, literackich i naukowych; pragniemy być rzecznikami potrzeb i dążeń naszego społeczeństwa i ich łączności z postępowemi a zdrowemi dążnościami Europy.

„Widzimy pośród naszej prasy stanowisko niezajęte — chcemy je zająć i dla tego otwarcie sformułowaliśmy nasz program.

„Dla urzeczywistnienia powyższych celów odwołujemy się do poparcia wszystkich ludzi inteligentnych i dobro kraju mających na celu".

W skład redakcyi wchodzą pp. Erazm Piltz, Piotr Chmielowski, Karol Dunin, Stanisław Kramsztyk, Leopold Mikulski, Bronisław Reichman, Filip Sulimierski, i Daniel Zgliński. Między stałymi współ-

pracownikami spotykamy imiona: Włodzimierza Spasowicza, Aleksandra Świętochowskiego, Henryka Sienkiewicza, Tadeusza Korzona, M. Bałuckiego, T. Romanowicza, Br. Abakanowicza, Jana Lama, Wł. Ordona i td.

Nowiny będą wychodziły codziennie, nie wyjmując i dni świątecznych.

Prenumerata dla Galicyi, 4.50 kwartalnie.

*** Zeszyt styczniowy *Ateneum* zawiera:

Francya dawniejsza. Przez K. Jarochowskiego. Wychowanie publiczne w Anglii. Według źródeł angielskich i niemieckich, opracował Teofil Krasnosielski (dokończenie.) Goethe. Zarys biograficzno-literacki. Przez Piotra Chmielowskiego (dokończenie.) Powódź. Powieść Fryderyka Spielhagena. W skróceniu opowiedziana przez Wincentę Limanowską (c. d.) Leopold Kronenberg. Wspomnienie pośmiertne. Przez J. I. Kraszewskiego. Wpływ bilansu handlowego na stosunki finansowe i ekonomiczne Rosyi przez Juliana Łapickiego. Kronika naukowa. Przez Bronisława Rejchmana. Kronika miesięczna.

Pomnik.

*** Na pobojowisku pod Solferino, ma być wzniesiony pomnik kolosalnych rozmiarów dla uczczenia pamięci króla Wiktora Emanuela. Pomnik ten stanowiący wieżę około 90 metrów wysokości, u wierzchu mieścić będzie posąg zmarłego króla. Składki nań zarządzono w całych Włoszech.

Zjawiska.

*** O niezwyczajnem i trudnem do wytłómaczenia zjawisku otrzymała „Köln. Ztg". z Monasteru następujące doniesienie: „Dnia 6. bm. — pisze korespondent — żona moja i dzieci, przypatrując się zachodzącemu słońcu nagle przywołały mnie do okna okrzykiem, że słońce się pali. Była właśnie godzina 8. Słońce znajdowało się na wysokości 4 do 5 pozornych swych średnic nad widokręgiem, a lubo czerwone jak krew, mało było powiększone optycznem złudzeniem zachodu, pomimo iż przysłaniały je mgliste i dziwnie poszarpane obłoczki. Natomiast z prawej strony tarczy słonecznej u dołu wydobywały się potężne słupy płomieni i dymu, jakby z olbrzymiego pogorzeliska. Końce wijących się płomieni widoczne były nawet na samej tarczy słonecznej, odgraniczał je bowiem rąbek dymu od blasku tejże. Płomienie, ogarniając całą dolną część tarczy, zmieniały prawie nieustannie kierunek swój i źródło, z którego pochodziły; górna zaś część przez cały czas zjawiska była od nich zupełnie wolną. W trzy minuty później, kiedy płomienie, jakby migające pochodnie, nagle znikły, w samym środku równika słonecznego przez kilka sekund zmieniał się bezustannie blask jasno-czerwony z ciemno-czerwonym i w końcu z drżeniem gasnącej świecy rozlał się po całej tarczy. Płomienie opisane miały wiele podobieństwa z tak zwanemi protuberancyami, widzialnemi podczas zupełnych zaćmień słońca. Jednakże przypuścić nawet nie można, żeby zjawisko to w rzeczy samej miało było miejsce w obrębie samegoż ciała słonecznego i było wpływem jakiegoś wybuchu na słońcu; przemawia przeciw temu już ta okoliczność, że płomienie niekiedy w czasie pół sekundy pozornie oblewały ogniem ćwierć tarczy słonecznej, do czego potrzebowałyby chyżości większej, niż chyżość światła, jeżeli w istocie wybuchały ze słońca. Z drugiej strony niepodobna wytłómaczyć zjawiska tego samymi stosunkami powierzchni ziemskiej". „Köln. Ztg." od siebie dodaje następującą uwagę: Obserwacya powyższa nie jest odosobnioną; już w dawniejszych czasach raz czy dwa razy widziano takie samo zjawisko, pomimo to stanowi ono jeszcze tajemnicę dla uczonych. Możnaby przypuszczać, że to meteory przeciągały pomiędzy okiem obserwatora a tarczą słoneczną, w której blasku tak się dziwnie odbijały. W każdym razie przyczyna zjawiska znajdować się musiała gdzieś pomiędzy sferą ziemi a słońca.

*** Miecz na niebie. *Narodni Listy* opowiadają, że późnym wieczorem w piątek podczas gwałtownej burzy można było w Pradze widzieć na niebie ogromny miecz z rękojeścią, końcem zwrócony w stronę północno-wschodnią. Zjawisko powstało z promieni księżyca, łamiących się wśród gęstych chmur, i trwało przez pięć minut. Tłumy ludzi na ulicach przypatrywały się tej osobliwszej igraszce blasków, przyczem, rozumie się, nie odbyło się bez złowrogich wróżb dla świata, jak zwykle, gdy się ukaże coś podobnego na niebie.

ROZMAITOŚCI

*** Zręczny adwokat. W jednem z miast Król. Polskiego adwokat bronił sprawy urzędnika pocztowego, oskarżonego o niedbalstwo w służbie. Broniąc go, użył tak czarnych barw na odmalowanie warunków, w których jego klient stale się znajdował, że ten ostatni, mimo wygrania sprawy, zażądał od swego obrońcy satysfakcyi honorowej!

*** Kapitalne oszustwo przytrafiło się w Wilnie. Przed kilkoma tygodniami zatrzymał się w tem mieście w hotelu Hawicha, człowiek średniego wieku i zajął jeden z lepszych numerów.

Posiadając nadzwyczaj przyjemną i wzbudzającą poszanowanie powierzchowność i emablując eleganckiemi manierami, człowiek ten w ciągu kilku dni pozyskał życzliwość gospodarza pana M. i całej jego rodziny, z którą wszedł w bliższe stosunki znajomości. Twierdził on, iż jest kupcem z Warszawy i zajmuje się handlem drogocennemi kamieniami.

Po upływie 10 dni, jegomość ów oświadczył gospodarzowi, że jest wdowcem i ma zamiar wstąpić w Wilnie w powtórne związki małżeńskie; idzie mu więc o wyszukanie odpowiedniej partyi; przytem dodał, iż jeżeli kobieta mu się podoba, to jako człowiek zamożny, nie będzie wymagał żadnego posagu.

Pan M. miał trzy córki; przyszło mu na myśl, że najstarsza jego córka byłaby najodpowiedniejszą żoną dla bogatego handlarza brylantami. Z myślą tą zwierzył się niezwłocznie owemu jegomości, ten przystał na propozycyę i za kilka dni (20. maja) nastąpiło wesele.

W dniu 26. tegoż miesiąca, zięć oświadczył teściowi, że ukończył już wszystkie interesa, jakie miał załatwić w Wilnie, zamierza więc wrócić do Warszawy. Teść zgodził się, i tegoż dnia młoda para udała się w drogę.

Zatrzymawszy się w Brześciu, gdzie, jak powiadał żonie, miał do załatwienia niektóre sprawy, wynajął numer w hotelu, zawiózł tam żonę, sam zaś udał się z bagażem na banhof i już więcej nie powrócił.

W dwa dni po wyjeździe córki, nieszczęśliwy ojciec otrzymuje z Brześcia telegraf, w którym córka zawiadamia go o ulotnieniu się męża, dodając, iż z zasięgniętych informacyj, przekonała się, że mąż jej jest członkiem całej szajki oszustów, i że ona nie jest pierwszą ofiarą jego oszustwa; prosi o przysłanie jej pieniędzy na powrót do Wilna, gdyż mniemany kupiec zabrał nietylko wszystkie jej rzeczy i posag, lecz nawet drobniejszą sumkę pieniędzy, jaką miała przy sobie, tak, iż została bez grosza.

*** Romantyczne zabójstwo i samobójstwo. To, co niżej opowiemy wydawać się może jakąś legendą średniowieczną. Tymczasem jest to fakt, za autentyczność którego poręcza jedno z pism rosyjskich.

Działo się to w jednem z miast w Cesarstwie. Pewien młody człowiek, Konstanty W., pokochał ubogą dziewczynę Elżbietę N. i pozyskał jej wzajemność.

Para ta chciała połączyć się związkiem małżeńskim. Lecz na drodze do tego celu stanęły nieprzezwyciężone przeszkody. Panienka była ubogą, z pracy rąk utrzymywała siebie i starą matkę. Kawaler zaś zależny był finansowo od ojca, przeciwko woli którego działając, pozbawiłby się wszelkich środków do życia.

Okrutny ojciec stanowczo sprzeciwił się temu związkowi.

Zrozpaczonemu kochankowi przyszła do głowy myśl samobójstwa. Zwierzył się z nią przed swą lubą. Ta nalegała, ażeby razem zakończyli życie.

Konstanty W. z początku stanowczo się temu sprzeciwiał, lecz nareszcie uległ namiętnym argumentom kochającej dziewczyny.

Przez dwa dni nie rozłączali się ani na chwilę. Trzeciego dnia znaleziono ich martwemi. Młodzian strzelił w lewą skroń swojej kochance a sobie w prawą.

Na stole znaleziono cztery listy, w jednym syn zawiadamia ojca, iż do tak okropnego czynu zmusiło go jego okrucieństwo; w drugim dziewczę błaga o przebaczenie swą starą matkę, spowiadając się jej gorąco z nieszczęśliwego uczucia, trzeci list adresowany do policyi, zawierał wyjaśnienie stanu rzeczy; czwarty do kolegi samobójcy, obojętnej treści.

AŻ DO ŚMIERCI.

Nowella.

W r. 178... margrabia B. otrzymał dowództwo królewskiego pułku piechoty, stojącego wówczas garnizonem w Nancy.

Margrabia znany był jako człowiek wysokich zdolności i używający jak najlepszej opinii; niejednokrotnie poruczano mu trudne i ważne misje; dziś zadaniem jego miało być przywrócenie w królewskim pułku karności wojskowej, rozprzężonej wskutek bezustannych sprzeczek i kłótni o byle drobnostkę pomiędzy oficerami sztabu.

— Położysz pan koniec pojedynkom, staczanym codziennie w pułku, który ci powierzamy! — rzekł król margrabiemu na pożegnalnej audyencyi.

— Spełnię rozkaz waszej królewskiej mości — odpowiedział pułkownik — a ośmielę się dodać, że uczynię to tem chętniej, iż mam nieomylny środek, Najjaśniejszy panie.

I bez bliższego wyjaśnienia swego planu pożegnał króla i bezzwłocznie udał się na miejsce swego przeznaczenia.

W dniu przybycia do Nancy, wydał w najpierwszej restauracyi miejscowej świetny obiad dla wszystkich swoich oficerów, którzy zachwyceni zostali uprzejmością, towarzyskiem obejściem się i niezrównanym wdziękiem prawdziwie salonowej galanteryi swego nowego pułkownika.

Znajdując go tak ugrzecznionym, miłym, nadskakującym prawie, z zachowaniem jednocześnie wszelkich wytwornych form wielkiego świata, zdumieni oficerowie królewskiego pułku piechoty, zaledwie uwierzyć mogli, że to jest ten sam dzielny żołnierz, wsławiony w niejednej bitwie, odznaczający się prawie nadludzką odwagą.

Przez cały ciąg obiadu, margrabia mówił wyłącznie o Wersalu, dworze królewskim, o ministrach, nie szczędząc zajmujących anegdotek, tyczących się najwyższych sfer towarzystwa.

Przy wetach dopiero przemówił w następujący sposób, zawsze jednak nadzwyczaj uprzejmie i z uśmiechem na ustach:

— Uprzedzono mnie, że panowie jesteście cokolwiek żywego usposobienia i że codziennie macie zwyczaj zamieniać pomiędzy sobą kilka pchnięć szpadą... Oh!... nie wypierajcie się, panowie; bynajmniej nie myślę robić wam wyrzutów; owszem, nikt może lepiej odemnie nie pojmuje jak czasami koniecznem jest przewietrzenie szpady i że taka emocya nader skutecznie wpływa na wzbudzenie apetytu przed śniadaniem. Miałbym tylko jednę prośbę do panów: oto, abyście nie pojedynkowali się nigdy, nie zawiadomiwszy mnie poprzednio. Mam zwyczaj z równą sobie troskliwością dbać o honor osób, które czynią mi zaszczyt służenia pod mymi rozkazami, jak o swój własny i interesować się wszystkiem, cokolwiek ich dotyczeć może.

Chciejcie mi więc przyrzec, panowie, że nie będziecie się bić nigdy, bez mego upoważnienia, które z resztą z łatwością uzyskacie; nic bowiem nie ma dla mnie tak przykrego, jak odmowa. Ocenię tylko fakta, objawię zdanie moje; poczem wolno będzie każdemu postąpić, jak mu się podoba; dajcie mi tylko słowo, że w każdym wypadku odwołacie się przedewszystkiem do mnie.

Wszyscy oficerowie złożyli chętnie wymagane przez pułkownika przyrzeczenie, gdyż widzieli w tem tylko prostą formalność, spełnienie której sama grzeczność nie pozwalała odmówić.

Margrabia zaczął mówić o czem innem, jakby przedmiot ten nie zajmował go już wcale, następnie, pozostawiając oficerów za stołem, pożegnał ich, przeszedł się po mieście i wrócił do swojej kwatery.

* * *

Zaledwie wszedł do mieszkania, zameldowano dwóch najmłodszych kapitanów z jego pułku, wicehrabiego Ryszarda de R. i kawalera Armanda de H.

— Najmocniej przepraszamy pana pułkownika za nasze natręctwo — zaczął wicehrabia — ale sprawa, która nas tu przywiodła, nie cierpi najmniejszej zwłoki; oprócz tego wizyta nasza jest dowodem szacunku, jakim przejęci jesteśmy dla naszego dowódzcy, i zarazem spełnieniem danego słowa. Z tych przeto powodów, pan pułkownik raczy wybaczyć nam niewłaściwą porę, w jakiej mamy zaszczyt się przedstawić.

— O cóż panom idzie? — zapytał margrabia, z góry domyślając się, o czem będzie mowa, ale chcąc wywołać szczegółowe wyjaśnienie.

— O drobnostkę — odpowiedział wicehrabia — Armand i ja pragniemy pojedynkować się jutro rano; ale nie śmielibyśmy spełnić tego życzenia, nie uzyskawszy

poprzednio zezwolenia pańskiego, do czego zniewala nas i oficerskie słowo honoru, i szacunek dla osoby pana pułkownika.

— Ah! to pan chcesz się bić z kapitanem Armandem? sądziłem, że jesteście przyjaciółmi.

— Nawet serdecznymi przyjaciółmi, pułkowniku, z dziecinnych czasów jeszcze, od dwudziestu pięciu lat. Kochamy się jak bracia.

— I chcecie się bić, panowie? Musiało więc coś bardzo ważnego zajść pomiędzy wami?

— Oto, jak było — rzekł kapitan Armand; – po obiedzie, na który raczyłeś nas pan pułkownik zaprosić, już po oddaleniu się pańskiem, rozmawialiśmy o Wersalu, o którym udzieliłeś nam pan tyle zajmujących wiadomości. Pod wrażeniem przyjemnych wspomnień, powiedziałem, że chciałbym być teraz przy kaskadzie Szwajcarskiej, i owinięty opończą, przechadzać się i gawędzić z przyjaciółmi moimi przebywającymi u dworu. Na to zarzucił mi Ryszard, że po południu nie można pokazywać się w płaszczu i bez puchu; że koniecznym jest strój dworski i peruka. On twierdził swoje, ja upierałem się przy swojem zdaniu. Uczyniony mi przez niego zarzut, przypisywał mi tem samem brak znajomości zwyczajów towarzyskich, a tem samem parafiańszczyznę ubliżającą i stopniowi memu i urodzeniu. Nie mogłem, rozumie się, znieść podobnej przymówki; oburzyłem się, Ryszard odpowiedział mi również gwałtownie, ztąd sprzeczka i w obec kolegów, naznaczyliśmy sobie spotkanie na jutro rano.

— To ważna kwestya! — przemówił sentencyonalnie margrabia.

Młodzieńcy spojrzeli na siebie zdumieniem.

Pułkownik mówił dalej z naciskiem:

— Niezaprzeczoną jest rzeczą, że płaszcz używa się tylko rano. Ale kiedy zaczyna się rano? kiedy kończy? Czy liczy się do obiadu, czy aż do kolacyi, czy też kończy się wraz z wybiciem godziny pierwszej w południe? Astronom albo zegarmistrz, rozwiązaliby może tę kwestyę. Ale, bądź co bądź, kapitan Ryszard powiedział kapitanowi Armandowi, że nie mógłby, tak jak miał ochotę, przechadzać się w opończy. To rzecz wielkiej wagi!

Potem, zwracając się do słuchających go uważnie młodzieńców, dodał:

— Dziękuję panom za okazany mi dowód zaufania; niech Bóg zachowa, abym miał przeszkadzać panom w spełnieniu ich życzeń. Idźcie się bić, pozwalam a nawet zachęcam was do tego; w razie zaś potrzeby, gotów jestem rozkazać. Żegnam panów, a nie zapominajcie, że nie ma nic śmieszniejszego nad pojedynki, kończące się lekkiem zadraśnięciem. Skoro się bić, to już bić się tak, aby przynajmniej jeden z przeciwników został na placu. Prawdziwy szlachcic nie ustępuje *aż do śmierci*, to jest do jedynego możliwego zakończenia każdej honorowej sprawy. Życzę panom spokojnej nocy.

Po tych słowach odszedł do swoich apartamentów i najspokojniej w świecie spać się położył.

* * *

Nazajutrz, margrabia zawsze uprzejmy i ugrzeczniony, zawsze uśmiechnięty, odbywając przegląd wojska, przechodził przed frontem swojego pułku.

Wicehrabia Ryszard i kawaler Armand stali na czele swoich kompanij.

Ręka Armanda spoczywała na temblaku.

Margrabia zmarszczył brwi i zapytał surowym głosem:

— Jakto! panowie nie pojedynkowaliście się?

— Owszem, pułkowniku — odpowiedział śmiejąc się kapitan Armand — Ryszard uczęstował mnie ślicznem cięciem w ramię.

— Ukłócie jakby szpilką w rękę, pan nazywasz pojedynkiem?... i to w tak ważnej sprawie opończy? O, nie! panowie, to się nie liczy! Jutro rozpoczniecie na nowo, i proszę panów lepiej się zachować. Wymagam, aby utrzymano honor pułku, którym mam zaszczyt dowodzić, a kto bije się w tym pułku, powinien bić się na śmierć!

Oficerowie królewskiego pułku piechoty niezmiernie zdziwieni byli tą wymówką, wypowiedzianą głosem ostrym, używanym w sposób zupełnie odmienny od tego, jakim zwykł był dotąd wyrażać się nowy ich pułkownik.

Dla naszych młodych kapitanów, pełnych zapału i odwagi, zbyteczną była ta zachęta, uczyniona w obec towarzyszy i pułkowego sztandaru.

* * *

Nazajutrz, miało miejsce nowe spotkanie dwóch przeciwników, wskutek którego kapitan Ryszard przeszyty został szpadą na wylot. Dwa miesiące musiał odleżeć w łóżku.

Przez ten czas królewski pułk piechoty nie próżnował. Wielu oficerów przychodziło do pułkownika z prośbą o pozwolenie pojedynkowania się.

Margrabia, nie usprawiedliwiając się bliżej, prosił tylko przeciwników o cierpliwość, zapewniając, że gdy nadejdzie właściwa chwila, sam ich zawiadomi, że mogą bić się do woli, w porządku, w jakim przedstawiali swe żądanie.

Prawdopodobnie margrabia nie lubił kilku spraw na raz załatwiać; najniecierpliwsi więc zmuszeni byli oczekiwać swej kolei.

Nareszcie kapitał Ryszard wyzdrowiał. Za zezwoleniem lekarza, wyszedł na przechadzkę, wsparty na ramieniu Armanda, który jakby siostra miłosierdzia czuwał nad jego łożem, przez cały przebieg choroby.

Dziwnym, a może właściwiej zręcznie urządzonym wypadkiem, pierwszą osobą, którą spotkali na spacerze, był pułkownik.

— Witam panów! — zawołał wesoło, udając zdziwienie. — Jak to dobrze, że kapitan Ryszard już wyzdrowiał; załatwicie panowie swoją sprawę; wszak prawda?

Obaj młodzieńcy nie mogli zataić głębokiego zdumienia; margrabia mówił dalej z wyrazem zadowolenia:

— Postaracie się panowie, aby tym razem skończyć już na dobre; co mi to za pojedynek, co się przeciąga tak długo! Za moich czasów, prędzej się zwijano w sprawach honorowych i nikt nie zważał na jakieś skrupuły... Bijecie się więc jutro panowie?

— Ależ, pułkowniku — odezwał się ni śmiało kapitan Armand — wicehrabia nie odzyskał jeszcze sił zupełnie; a zresztą....

— Kto może się przechadzać, temu starczy sił do zamienienia kilku pchnięć szpadą, a tak ważnej kwestyi co do używania opończy, nie możemy zostawiać nierozstrzygniętą.

Młodzi ludzie spojrzeli smutnie na siebie, i uścisnęli się za ręce.

Margrabia pragnąc ukryć rozrzewnienie, jakie opanowało go mimowolnie, rozstał się z nimi nagle, mówiąc najsurowszym i najtwardszym swym głosem, głosem którego zwykł był używać jedynie na polu bitwy:

— Inaczej, byłbym zmuszony odebrać panom szlify; jeżeli zaś nie chcecie doprowadzić mnie do tej przykrej ostateczności, zróbcie tak abym tylko jednego z was widział przy życiu.

Podobne słowa nie dopuszczały repliki ze strony oficerów, dbałych o honor swojego munduru.

* * *

Wszyscy oficerowie królewskiego pułku piechoty jednomyślnie potępiali upor i surowość pułkownika, nie mogąc zrozumieć pobudek, jakie nim kierowały. Ale również jednomyślnie uznali, że trzecie spotkanie było nieuchronnem; dowódzca był nieubłaganym i im więc należało okazać się godnymi swego powołania.

Ostatnie to spotkanie było straszne i rozrzewniające zarazem. Przeciwnicy przyszli na miejsce oznaczone, prowadząc się pod rękę, z wyrazem serdecznej czułości.

Stanąwszy na placu, wręczyli sobie nawzajem zapieczętowane koperty, w których mieściła się ostatnia ich wola, przyobiecując sobie być sumiennymi wykonawcami testamentu. Następnie uścisnęli się jak bracia, zrzucili mundury i skrzyżowali szpady.

Obaj zarówno wyćwiczeni byli w sztuce fechtunku; wychowywali się w jednej akademii, tych samych mieli nauczycieli; zresztą, znając się doskonale i posiadając też same tajemnice pojedynkowania się, nie mogli liczyć na żadne fałszywe ciosy, co jak wiadomo, jest jedynem skutecznem wyjściem w podobnych wypadkach.

Armand jednakże oszczędzał Ryszarda, który z niezupełnie zagojoną jeszcze raną, słaby tylko stawiać mógł opór.

Świadkowie niebawem spostrzegli, że walczący wysilają się napróżno, jeden drugiemu chcąc ustąpić zwycięztwa; znagiali ich przeto do energiczniejszej walki.

Na wezwanie to, młodzi kapitanowie rzucili się jednocześnie ku sobie, nie myśląc o zadaniu przeciwnikowi ciosu, nie dbając o własną obronę, zdali się już tylko na wolę losów.

Nastąpiło to, co powinno było nastąpić wskutek tak gwałtownego spotkania się; przeszyli się wzajemnie szpadami i obaj, bez przytomności padli na ziemię, jeden obok drugiego.

Padając, ręce ich oderwały się od rękojeści zabójczej broni, aby połączyć się w ostatnim braterskim uścisku.

Armand wyzionął ducha na miejscu. Ryszard ranny w pierś, tuż obok poprzedniej rany, nie pozostawiał nadziei życia...

Straszny ten wypadek pogrążył cały pułk w głębokim smutku; żałoba wyrytą była na twarzach wszystkich.

* * *

Wieczorem tegoż dnia, pułkownik wezwał do siebie sztab cały, i zwracając się szczególniej do tych oficerów, którzy różnemi czasy prosili go o pozwolenie pojedynkowania się, rzekł:

— Panowie byliście tyle uprzejmymi, że zgodziliście się wstrzymać chwilowo załatwienie osobistych swych zatargów. Dziękuję panom za okazaną cierpliwość. Nie lubię, aby jednocześnie dwie podobne sprawy były na porządku dziennym, gdyż przeszkadza to służbie pułkowej i osłabia karność wojskową. Obecnie, po honorowem zakończeniu sprawy kapitana Armanda i kapitana Ryszarda, gotów jestem udzielić wam pozwolenie... Uprzedzam tylko tych panów, którzy zechcą korzystać z niego, aby pamiętali, że dozwolonym jedynie jest pojedynek *na śmierć* — i jeżeli przy pierwszem spotkaniu jeden z przeciwników nie padnie, trzeba będzie rozpoczynać na nowo, *aż do skutku*. Pod tym względem zasady moje są niezłomne i żądam, abyście i panowie podzielali je wraz ze mną.

Oficerowie skłonili się z szacunkiem, poczem odeszli w milczeniu, żaden z nich jednak nie zażądał pozwolenia tak łaskawie ofiarowywanego.

Zrozumieli głębokie znaczenie słów pułkownika, pojęli jak wielką zbrodnią jest nastawanie na życie towarzysza broni. Smutny koniec dwóch przyjaciół, bolesną był dla nich nauką — ale nauka ta poskutkowała.

Królewski pułk piechoty zaliczany był do najdzielniejszych, najlepiej prowadzonych, najkarniejszych w całej armii francuskiej, ale odtąd walczono w nim tylko przeciw nieprzyjaciołom ojczyzny.

A. d' Alembert.

OD WYDAWNICTWA.

Zmuszeni zaprowadzić oszczędność w wydatkach, od 1. lipca zaprzestajemy wysyłać i rozdawać gratysowe egzemplarze *Tygodnia*.

Do dzisiejszego N-ru dołącza się tomik I. ŚPIEWNIKA POLSKIEGO jako dodatek bezpłatny dla prenumeratorów „Tygodnia.“

Z tym numerem kończy się kwartał drugi.

Treść Nr. 44.

	str
Wiedza a wiara.	113
Za winy niepopełnione. Powieść, przez Michała Bałuckiego (c. d.)	114
Państwo i jego granice, studyum prawno-państwowe, przez Edwarda Laboulaye. Tłómaczył Józef Schiff (c. d.)	115
Wspomnienia starych żołnierzy spisał Ezechiel Berzewiczy. Bitwa pod Uchaniami (c. d.)	116
Studya estetyczne, przez Wojciecha Dzieduszyckiego. (c. d.)	118
Wrażenia z podróży na Wschód przez J. z T. T-R. (c. d.)	119
Przeszło siedm stóp wysokości. Obrazek z życia londyńskiego przełożył z angielskiego Kalikst Wolski.	120
Pogadanki o Włoszech. V. hr. Olgi Komorowskiej.	122
Emil Zola i jego utwory, przez J. F.	123
Teatr przez J. T.	124
Tydzień lwowski.	125
Jubileusz J. I. Kraszewskiego.	126
Wiadomości z kraju i ze świata.	126
Rozmaitości.	127
Aż do śmierci. Nowella przez A. d' Alembert.	127

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego.) Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą Józef A. L. Laskownicki.